



SYRENA

ROK XXIII
PARYŻ—LONDYN

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Nr 8/1076 (808)

CZWARTEK, 21 lutego 1963

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

Po dezorientacji — poczucie solidarności Zachodu odzywa

JESIENNY kryzys kubański zrodził w Waszyngtonie niedostatecznie uzasadnione poczucie sukcesu i nadzieję bezpośredniego dogadania się z Sowietami, czemu towarzyszyły zwykle chłodniejsze traktowanie własnych, zachodnich sprzymierzeńców i za tym ogólne osłabienie poczucia głębszej solidarności w tonie Zachodu. Mocniejsi partnerzy Ameryki, jak Francja i W. Brytania, nie ośmielili się od razu zademonstrować, że na podobną drogę mogliby również sami wkroczyć. Prez. de Gaulle przyjął sowieckiego ambasadora Winogradowa, a z Londynu wyjechała liczna misja „kapitalistycznych rekinów” na serdeczne rozmowy z Chruszczowem i jego gospodarzami ministrami, przy czym zaczęło się dyskusować ofertę kupowania ropy sowieckiej.

Wszystko to, jak sądzę, w rozumieniu Białego Domu i innych szefów rządów zachodnich nie wykraczało poza dziedzinę taktyki. W społeczeństwach demokratycznych jednak tendencja taka rozszerza się od razu na szersze, mniej odpowiedzialne koła polityczne oraz prasę i komentarze idą dalej, choć wyrażając idee już tylko samych komentatorów. Podniosły się więc od razu głosy zwolenników istoty porozumienia się z Sowietami a rozluźnienia wewnętrznych więzów Zachodu i równocześnie zacierania głębokiej różnicy, jaka dzieli kraje wolne od komunistycznego bloku Moskwy. Taką linię rozumowania wspierano informacjami o równoległych rozdziewkach w tonie bloku komunistycznego, zwłaszcza między Moskwą a Pekinem, którym to rozdziewkom nadawano też, jak zwykle, przesadne znaczenie. W mętnej wodzie rzekomego zasypywania przeciwnostw między światem wolności a komunistycznego totalizmu, zwolennicy rozmaitych „neutralizmów” czy odwrócenia przymierzy, zaczęli łowić swoje podejrzane jakości ryby.

Ta atmosfera dezorientacji i chaosu ulega już, szczęśliwie, przewyższeniu. Trzeba stwierdzić, że przytaczane na tych łamach wypowiedzi prez. Kennedy'ego kładły już poprzednio tamę zbyt niemu rozluźnieniu poczucia solidarności Zachodu i ostrzegaly przed leke-

ważeniem groźby ze strony bloku sowieckiego, choćby nurtowanego przez ideologiczno-taktyczne spory. Nie zastrzył też Prezydent Stanów Zjednoczonych żadnym oświadczeniem osobistym stosunków z Prezydentem Francji.

Ostatnio wreszcie, z jednej strony Moskwa odrzuciła pojedynczą wobec Ameryki maskę, jaką w rokowaniach w sprawie Kuby i kontroli próbnych wybuchów nuklearnych przez grudzień i styczeń nosiła, a z drugiej — po demonstracji ideologicznych sporów — Chruszczow zmanifestował kilkakrotnie nienaruszalną solidarność w walce z Zachodem między Sowietami a „Chińską Republiką Ludową”, o czym bardziej szczegółowo piszemy na innym miejscu.

WASZYNGTON TORUJE DROGĘ POROZUMIENIU Z PARYŻEM

Rozczarowaniu do możliwości nawet taktycznego porozumienia się z Moskwą towarzyszy przyjęcie przez Białą Dom bardziej pojedynczego kursu w stosunku do europejskich sprzymierzeńców, a w szczególności do Francji. Nigdy nie zastrzyższy stosunków z Paryżem ze swojej strony, obecnie prez. Kennedy zdecydował pozytywne szukanie drogi porozumienia z tą, najważniejszą dziś stolicą wolnej części Europy. Zgodnie ze swoją, akademicką metodą — mogącą zresztą budzić wątpliwości — mianował grupę najbliższych doradców do przestudiowania problemu i przygotowania mu wniosków. Według informacji prasy francuskiej, na czele jej stanął ambasador Bruce, a wchodzi do niej: wiceprezydent Johnson (republikanin) b. Sekretarz Stanu i ostatnio specjalny reprezentant Kennedy'ego do gospodarczych spraw europejskich Christian Herter, drugi (demokratyczny) b. Sekretarz Stanu Dean Acheson i aktualny podsekretarz Stanu George Ball.

Wytycznych, jakie ta grupa (task force) otrzymała można się domyślać z publicznych wypowiedzi ministrów rządu amerykańskiego, najbezpośredniej odpowiedzialnych za stosunki z zachodnią Europą. Sekretarz Stanu Dean

Rusk w mowie, którą wygłosił w Kalifornii, podkreślił z naciskiem, że Stany Zjednoczone nie powinny się wywyższać nad swoich sprzymierzeńców, lecz dążyć do ułożenia stosunków z nimi na zasadzie równości. Drugi, niewątpliwie rzeczniczką myśli Prezydenta w zakresie spraw narodowego bezpieczeństwa McGeorge Bundy, przemawiał 16 lutego na temat „Odpowiedzialnej polityki nuklearnej” na uniwersytecie w Yale.

(Dokończenie na str. 8)

STANISŁAW PACZYŃSKI

NAD BRZEGAMI SEKWANY

Sieć szpiegowska „M.S.W.5.”

FRANCUSKIE pismo wieczorne „France-Soir” podało, a za nim londyński „Dziennik Polski” powtórzył, że szpieg Bitoński, używający pięknego pseudonimu „Beatrice”, posługiwał się w swym zawodzie szpiegowskim udoskonalonym aparatem fotograficznym dla fotografowania dokumentów oraz specjalną białą kalką, dzięki której pisane przez niego meldunki mogły być odczytane jedynie przy użyciu środków chemicznych. Oba pisma zgodnie dodają, że Bitoński posiadał w Paryżu własne mieszkanie oraz sklep z perfumami, jak również mieszkanie w Lozannie, gdzie najprawdopodobniej była zainstalowana tajna stacja nadawcza. Zarówno sklep jak i mieszkanie szwajcarskie były po prostu „skrzynkami pocztowymi”. Wreszcie oba pisma zgodnie podają, że zostali aresztowani: Adam Bitoński, jego żona Stanisława oraz jakiś urzędnik reżimowego „konsulatu” w Paryżu. Dodajmy od razu od siebie, że tym urzędnikiem jest obywatel Jan Klaput, do którego obowiązków należało kierowanie reżimowym „szkolnictwem” we Francji.

Ale wspomniane wyżej pismo francuskie podało inną jeszcze wiadomość. Tę mianowicie, że wykryta sieć szpiegowska, na której czele stał Bitoński, używała ciekawego kryptonimu: M.S.W.5. Pismo francuskie nie tym się bliżej nie rozwoździ, a londyński

„Dziennik Polski” tę wiadomość pomija zupełnie.

Tymczasem jest to sprawa niezmiernie wagi. Nazwa bowiem sieci szpiegowskiej wskazuje wyraźnie, że jej nici prowadzą nie tylko do Warszawy, lecz także do reżimowej „ambasady” w Paryżu. Raz jeszcze tedy potwierdziły się nasze obawy, że ta „ambasada” jest centralą sowieckiego szpiegostwa we Francji.

Co oznacza M.S.W.5.? Nie trudno się domyśleć. Te litery i ta cyfra oznaczają: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych — Wydział piąty. A skoro tak jest — nasuwają się dalsze wnioski. Tę mianowicie, że wydział piąty reżimowego ministerstwa spraw wewnętrznych zajmuje się w pierwszym rzędzie rozróżką emigracji oraz tworzeniem wśród niej piątej kolumny politycznej i sieci szpiegowskiej. Na czele tego wydziału przez długi czas stał świetny w tych dziedzinach fachowiec — obywatel Władysław Wojtasik.

Po wykluczeniu Bitońskiego z Międzykrajowego PSL „za działalność na szkodę Stronnictwa”, Władysław Wojtasik nagle opuszcza ministerstwo spraw wewnętrznych i przechodzi do służby „dyplomatycznej”. Wkrótce zjawia się w Paryżu jako pierwszy sekretarz reżimowej ambasady.

(Dokończenie na str. 8)

APEL FEDERACJI EUROPEJSKIEJ POLSKICH KOMBATANTÓW

Afera szpiegowska Bitońskiego wywołała w polskich kołach kombatanckich wielkie i zrozumiałe poruszenie. Od Federacji Europejskiej Polskich Kombatantów otrzymaliśmy — z prośbą o wydrukowanie — poniższy apel:

„W związku z aferą szpiegowską A. Bitońskiego, Federacja Europejska Polskich Kombatantów, nawiązując do uchwał Rady Głównej SPK przestrzegających społeczeństwo polskie na emigracji przed infiltracją reżimową, stwierdza, że:

- 1) niezmiennym celem reżimu jest sparaliżowanie wszelkiej działalności politycznej emigracji;
- 2) organizowanie wśród emigracji piątej kolumny politycznej;
- 3) wydawanie w ręce bezpieki ludzi w kraju czynnie zaangażowanych w walce z reżimem;
- 4) i — jak afery Bitońskiego wykazuje — także organizowanie sieci szpiegowskich działających na rzecz imperializmu sowieckiego.

Federacja Europejska Polskich Kombatantów uważa, że afery Bitońskiego zaktualizowała powzięte w swoim czasie przez Radę Główną S.P.K. uchwały i wzywa całe społeczeństwo niepodległościowe na emigracji do zachowania szczególnie wzmożonej czujności.”

trudem jedności wewnątrz partii, a po drugie, najlepiej trafić może do przekonania najszerszym rzeszom wyborców jako kandydat na przyszłego premiera. Z tych założeń wychodząc, większość klubu poselskiego — i to duża większość, 144 na ogólną liczbę 247 głosujących — oddała w drugiej kolejce swe głosy na Wilsona.

Wilson, to znakomity ekonomista, profesor uniwersytetu w Oxfordzie, mówca parlamentarny wytrawny, niesłychanie niebezpieczny jako przeciwnik w dyskusji, ale bardzo spokojny. Tym właśnie spokojem góruje nad poręczym i nie zawsze opanowanym Brownem. O jego zdolnościach świadczy młody wiek, w jakim osiągnął wybitne postępowanie życia publicznego: miał lat 29 gdy został wybrany członkiem parlamentu, miał lat 31 gdy został powołany w skład rządu, obecnie liczy lat 46 i jeśli zostanie w tym lub następnym roku premierem, będzie najmłodszym szefem rządu brytyjskiego od czasów Pitta juniora.

W życiu wewnętrznym Partii Pracy ma Wilson za sobą zaplecze fabiańskie, podobnie jak miał je Attlee i Gaitskell. Szedł nieraz — ale nie zawsze — z lewym skrzydłem. I tak w r. 1951 razem z Bevanem ustąpił z rządu Attlee na znak protestu przeciw programowi zbrojeniowemu i czasowemu nałożeniu opłat za okulary i protezy dentystyczne z Narodowej Służby Zdrowia, ale w trzy lata później po rezygnacji Bevana z „gabinetu cieni” nie zsolidaryzował się z nim, a nawet pozwolił się wybrać na opuszczone przez Bevana miejsce. W r. 1960 nie poparł Gaitskella po dramatycznym kongresie w Scarborough, a nawet przeciwstawił kandydaturze Gaitskella swą kandydaturę na lidera klubu poselskiego, ale jednocześnie wypowiadał się przeciw jednostronnemu rozbrojeniu jądrowemu Wielkiej Brytanii. Dzieliły go tedy od Gaitskella różnice nie tyle merytoryczne, ile taktyczne, Wilson np. uważał, że lider partii winien respektować uchwały kongresu partyjnego, nawet jeśli się z nimi nie zgadza.

Obecnie Wilson daje wyraźnie do poznania, że będzie kontynuował politykę Gaitskella. I tak w dniu 11 bm, zabierając głos w wielkiej debacie w Izbie Gmin na temat rozbitcia się rękawów brukselskich, powiedział Wilson, że Adenauer myli się, jeśli sądzi, iż po najbliższych wyborach socjalistyczna Anglia przejdzie na pozycje neutralizmu. „We shall not”, tak nie będzie, powiedział Wilson.

Jego mowa w ogóle zrobiła doskonałe wrażenie, Wilson poruszał się w niej zresztą po twardym gruncie dobrze mu znanych zagadnień gospodarczych. Od Macmillana różnił się przede wszystkim położeniem nacisku na możliwości eksportu do młodych krajów brytyjskiej Wspólnoty Narodów, z czym Wilson łączy wielkie nadzieje dla przyszłości angielskiego przemysłu. Wymienił też możliwości w zakresie handlu ze Wschodem, gdzie widzi szanse wzrostu eksportu zwłaszcza dla ciężkiego przemysłu angielskiego, chociaż tych szans nie przecenia. Mówiąc o współpracy gospodarczej państw zachodniej Europy, Wilson wypowiedział się za pozostawieniem drzwi otworem dla innych krajów, takich jak Jugosławia. Wymienił tylko Jugosławię, ale można przypuszczać, że miał również na myśli Polskę, w czym zresztą też szedłby w ślady Gaitskella.

Jeśli chodzi o integrację Europy, mowa Wilsona miała wyraźny ton niechęci do wszelkich rozwiązań typu federacyjnego czy konfederacyjnego, ponad które Wilson przedkłada współpracę pomiędzy rządami. Należy więc zakładać, że Wilson będzie kontynuował politykę Attlee i Gaitskella: nie przeskądzać integracji europejskiej, ale samemu nie brać w niej udziału. Polityka ta odpowiada bardzo mentalności angielskiej, a już teraz po zerwaniu rokowań brukselskich jest właściwie jedyną możliwą dla Anglii polityką. Jednocześnie polityka ta odpowiadać też będzie de Gaulle'owi, toteż Wilson (jeśli zostanie premierem) będzie miał większą niż Macmillan szansę dogadania się z prezydentem Republiki Francuskiej. Pozostaje kwestia, jak będzie Wilson widział w Waszyngtonie? Przewidywania są optymistyczne. W każdym razie bardzo wyraźne i bardzo stanowcze wypowiedzenie się Wilsona za dotrzymaniem przez Anglię zobowiązań wynikających z sojuszu atlantyckiego i za politycz-

(Dokończenie na str. 4)

fraszki

WYBORY PRZYWÓDCY PARTII PRACY

Z głosowania o jednej tej prawdzie
Każdy mógł się naocznie przekonać:
Że większość bardziej nie chce Browna,
Niż Wilsona.

Rawicz

FP 2156

NAOKOŁO ŚWIATA

WYCZYNY KRYSYNY — REFLEKSJE O BURMIE — BENO KOLLER

Czesław Jeśman

Krysia Bronikowska też została „GI bride“.

Lata szły i coś w rok czy dwa po gomółkowskiej „odwilży“ ukazała się w Stanach a potem w Anglii niezmiernie bzdurna książka o Polsce. Były to wspomnienia i wrażenia dziennikarki amerykańskiej powracającej do kraju ojczystego. Czego tam tylko nie było: i historyczny bigos, i cienki żurek wzruszeń i czułościowość godna Zmichowskiej. A nade wszystko spod polewy t. zw. „rewrites“ — redaktorskich wygładzeń — wynurzał się „babski“ rozum i babski snobizm tak śmieszne, że aż nieznośne. Jako to przyjaciele i kuzyni, the „beaux“, sprzed wojny — cienie Scarlet O'Hara — szukali w niej natchnienia do dalszego borykania się z czarną rzeczywistością, jako to dawne służące i nianki przypadały do kolan „Jasnej Pani“.

Nie warto byłoby odegrzewać tych ambarasujących wspominków, gdyby nie ostatni występ publiczny Christine Hotchkiss, Oto ex-Jasnie Panią rąbnęła kobyłą w „The Saturday Evening Post“, korespondencja z Rzymu. Treścią jej jest ani mniej ani więcej tylko wywiad z ks. Prymasem Wyszyńskim na temat obecnego układu stosunków pomiędzy Kościołem a reżimem w „PRL“.

Kuria arcybiskupia warszawsko-gnieźnieńska oświadczyła, iż ks. Prymas żadnego wywiadu nie udzielił i nie udzieli w ogóle, i nigdy i nikomu. Redakcja „SEP“ twierdzi, że wywiad jest autentyczny i znacząco dodaje, iż rozumie dlaczego kuria protestowała. Christine dostała te swoje parę tysięcy dolarów honorarium i, prawdopodobnie, wśród ciemniejszych dziennikarzy amerykańskich, cieszyła się efemeryczną sławą jedynotgodniowego „scoopu“ — wyłączniaka.

A treść wywiadu jest zestawem ogólników, spraw dobrze znanych i aż zbyt łatwych domysłów. W sumie wodolej. Mam własną teorię, jak wyłano go w „wywiad“: w Rzymie Christine Hotchkiss przedzierzgnęła się w Krysie Bronikowską i zaczęła nalażać polskich ojców soborowych. Poniekąd musieć niewątpliwie znać kogoś z jej rodziny z dawnych lat. Bronikowscy, wprawdzie nie „Jaśnie Panowie“ i nawet nie półhrabki, ale są dobrą szlachtą średniej ręki z Królestwa; Coś ktoś pod sekretem, mógł powiedzieć, coś wyniknęło samo przez się. No, i po nitce do kłęba tak też musiał narodzić się „wywiad“. Trzeba być — z polskiego punktu widzenia — mało rozgarniętym, żeby tego rodzaju skrypt ogłaszać drukiem w amerykańskim czasopiśmie w chwili obecnej. Opinij na Zachodzie nie wzburzy, Kurij mnóstwo kłopotów przysporzy i niczego nowego, żadnych rewelacji do bolesnego zagadnienia nie przyniesie. O co więc „ex-GI bride“ chodziło? O forszę? O sławę mołojęcką? O pamięć u potomnych?

Dowiadujemy się z prasy, iż Mr. Charles Curwen, członek ogólnobrytyjskiego Komitetu Przyjaźni Chińsko-Brytyjskiej, zwrócił towarzyszom chińskim miecz należący przed 97-miu laty do Li Hsiun-chenga, jednego z wodzów anty-europejskiego i antychrześcijańskiego powstania Taipingów. Był on wręczony wodzowi przez Hung Hsiu-czuana, cesarza Taipingów. Magiczny miecz wpadł po zgnieceniu Taipingów w ręce gen. Gordona, temu co to zginął w Chartumie podczas powstania Mahdiego. Przeszedł z kolei do księcia Cambridge, kuzyna Wiktorii.

Bardzo to piękny gest, ale czy nie warto było najpierw zająć się klejnotami koronnymi Burmy? Dostały się one do rąk angielskich po ostatecznym podboju tego kraju w r. 1885. Zdobyto wówczas Mandalay, ostatnią stolicę niepodległego królestwa i rozgrabiono pałac jego władców. Dziś te dalekowschodnie „skarby wawelskie“ z kutego złota i klejnotów można oglądać z uczuciem zażenowania w Victo-

ria and Albert Museum, w Londynie. Cześć skarbów znajdująca się uprzednio w Indiach została zwrócona Burmie. Ciekawa rzecz: stosunki pomiędzy tymi krajami uległy później poprawie.

Burma była po II-giej wojnie pierwszym krajem dawnego Imperium Brytyjskiego, który nie tylko uzyskał niepodległość, ale równocześnie opuścił, podobnie jak Irlandia, Brytyjską Wspólnotę Narodów. Administracja brytyjska w Burmie była prawie że niezauważalna. Trwała krótko. Ale Burma jest jednym z najstarszych i najbardziej oryginalnych cywilizacji Dalekiego Wschodu. Pamięć obcego panowania była, i jest, dla Burmeńczyków nieznośnym urazem psychicznym. U Thant, sekretarz Generalny ONZ jest Burmeńczykiem.

Historia wali naprzód w takim tempie, iż niedawne stosunkowo wiadomości zacierały się zupełnie. I tak ktoś dziś pamięta „na codzień“, że po zagarnięciu Burmy przez Japonię, niepodległość Burmy została ogłoszona restryktem cesarza japońskiego w dniu 1-go sierpnia 1943. Głową państwa — Adipadi — został U Ba Maw. Powołano jednocześnie Tajną Radę Przyboczną z 20-tu członków i Komitet Parlamentu z 25-ciu członków. Ministrem spraw zagranicznych został Thakin Nu. Sztandar niepodległości z japońska Burmy składał się z trzech podłużnych pasów: czerwonego, złotego i zielonego. Na pasie złotym umieszczono czerwoną tarczę a na niej heraldycznego pawia. W teorii księstwa Szan i Karen zostały przyłączone do „japońskiej“ Burmy, poza okręgami Mongpan i Kengtoung. Okręg Wa pozostał przy Burmie. Traktat z Japonią podpisał ona 25. 9. 1943. Japońskim ambasadorem przy Adipadi był od 9 sierpnia Renzo Sawada. Poza tym rezydował też poseł cesarstwa Mandżukuo. Piaskiem zaniosło i bambusem zarosło.

Nie jestem sprawozdawcą teatralnym i dlatego po premierze ostatniej rewii Ref-Rena w teatrze „Ogniska“, przez przekorę, będę pisał o Beniu Kollerze, administratorze, a nie o aktorach, tekstach i grze. Ciągłe się narzeka, że emigracja dziadzieje. Nieprawda. A w każdym razie niezupełnie. I Benio jest tego dowodem. We Lwowie wydawał książki, w łagrach przeżył, pod Monte Cassino dostał „Krzyż Walecznych“, w Londynie prowadził drukarnię, jest administratorem teatru i nie ma lat pięćdziesięciu. Proszę o następnych kandydatów do nagrody półwiecza i tysiąclecia.

I niech mi wolno będzie złożyć wianuszek komplementów u stóp p. Marii Druce, śliczna suknia, śliczne, młodzieńcze plecy (przed laty czymś podobnym mogła pochwalić się tylko Elize Labourdette, z Paryża), i poczucie stylu w akompaniamencie muzycznym najwyższej, bo instynktownej klasy.

NOWA KSIĄŻKA O ŻYCIU POLSKIEJ EMIGRACJI POLITYCZNEJ

Nakładem firmy B. Świdorski w Londynie ukazała się wkrótce w sprzedaży nowa książka Stefana Korbońskiego p.t. „W imieniu Polski Walecznej“. Będzie to trzeci tom jego wspomnień barwnie przedstawionych w poprzednich książkach: „W imieniu Rzeczypospolitej“ i „W imieniu Kremła“. Autor jak wiadomo jest znanym działaczem Polskiej Podziemnej i byłym Szefem Kierownictwa Walki Cywilnej w Kraju w okresie okupacji hitlerowskiej.

Książka „W imieniu Polski Walecznej“ przynosi szereg ciekawych rewelacji o życiu politycznym Ameryki. Autor jej szeroko omawia rolę i zadania polskiej emigracji. Kilka rozdziałów poświęconych jest najważniejszym wydarzeniom, jakie zaszły w Kraju w okresie lat 1947-1960 (m.in. rewolta w Poznaniu, przewrót październikowy itp.). Ponieważ działalność Stefana Korbońskiego wykracza poza środowisko polskie, szereg rozdziałów książki poświęconych jest również innym emigracjom. Bardzo interesujące są obserwacje autora, jakie poczynił w czasie swoich podróży do odległych zakątków świata.

(REC)

ZDZISŁAW STAHL

NOWA PUBLIKACJA O LWOWIE

RECENZJA

Nakładem Koła Lwówian ukazała się praca dr Stefana Męcarskiego pt. „Lwów — Karta z dziejów Polski“ (**). Jest to drugie wydanie rzeczy opublikowanej po raz pierwszy — pod pseudonimem J. Rudnickiego — w 1943 r. w Glasgow i następnie w roku 1944 w staraniem Polskiego Ośrodka Badawczego — Polish Research Centre i osobistym jego niezapomnianej pamięci przewodniczącego, prof. Adama Żółtowskiego, po angielsku. Tytuł przekładu brzmi: „A Page of Polish History — Lwów“, przedmowę napisał wybitny historyk brytyjski W. F. Reddaway.

We wstępie do pierwszego wydania sprzed dwudziestu blisko laty autor wyjaśnia najważniejsze powody, które skłoniły go do napisania tego zwięzłego zarysu historii naszego miasta. Pierwszym z nich to 600-lecie związku Lwowa z Polską, które przypadało na rok 1940 i miało być uroczyste w kraju obchodzone. Przygotowania do tego obchodu były już przed wojną daleko posunięte, ale katastrofa wrześniowa wszystko to przekreśliła. Po wtóre, w 1943 r. wydania książki miało lat 25 od obrony Lwowa z 1918 r. kiedy miasto krwawo i bohatercko potwierdziło swoją wierność odradzającej się Rzeczypospolitej.

Wreszcie, motywem aktualnym i związanym z naszymi politycznymi dążeniami w drugiej wojnie światowej, była potrzeba uswiadomienia ówczesnych sprzymierzeńców zachodnich, a przypomnienia rodakom, historii i znaczenia Lwowa oraz ziem wschodnich dla Polski i Europy. Dr. S. Męcarski kończy swój wstęp do pierwszego wydania — po przytoczeniu słów poety z XVI wieku który wołał: „Lwowie! My ciebie kornie pozdrawiamy, bo losy świata w twych murach się ważą“ — następującymi uwagami, które także dziś po latach od zakończenia wojny nie straciły aktualności: „Być może — ocenia wołanie z XVI w. — nie był to tylko wyraz melomaniacji narodowej, ale trafne i prorocze rozeznanie, że od tego, czym jest Lwów — zależy, czy Europa będzie światem zachodniej cywilizacji, czy tylko ... malutkim półwyspem niezmiernie Azji. Czymże jest ten Lwów, o którym dziś tak głośno w świecie. Gdy miasto to dziś pod okupacją, ma skneblowane usta, szkiełki niebieskie pragnie dać odpowiedź na postawione wyżej pytanie. 600-letnie dzieje Lwowa odsłaniają prawdę, k tórej żadną siłą, sztuką czy przemocą nie da się zatrzeć i ukryć“.

Mijały lata wojenne, przyszły układy w Teheranie i Jaicie, potem tragiczne dla Lwowa, Polski i całej środkowo-wschodniej Europy zakończenie wojny. Kluczową dla panowania Moskwy nad bałtycko-czarnomorskim pasem rolę Lwowa docenił widać Stalin, ponieważ oparł się wszelkim próbom zachodnich szefów rządów, aby miasto nasze przynajmniej w granicach „Polski Ludowej“ utrzymał. Lwów został wcielony do Sowietów bezpośrednio i choć nazwano go stolicą Sowieckiej Zachodniej Ukrainy, odgraniczono jednak administracyjnymi zarządzeniami od otaczającego obszaru a zapchano zwiezionymi z dalekich stron ZSSR obcymi przybyszami na miejsce ludności rodzimej, przeważnie polskiej, którą niemal w całości deportowano. Oficjalnie zapomniany przez komunistyczny reżim w Polsce i oddzielony dodatkową „żelazną kurtyną“, Lwów został moskiewskim wyrokiem skazany na utratę swojej historii i rozpoczęcie jakiegoś nowego bytu, przemocy i sztucznie mu szepconego: bastionu eur-azji na południowym wschodzie Europy.

W tej tragicznej sytuacji obowiązków nasze, Polaków, lwowian szczególnie, w wolnym świecie, wobec rodzinnego miasta stały się jeszcze ważniejsze, niż podczas wojny i kiedy pierwsze wydanie książki „Lwów“ się ukazało. Ponieważ wydanie to, podobnie jak przekład angielski są wyczerpane i tylko w oiblotkach można się z nimi zapoznawać, dobrze się stało, że Koło Lwówian ponowiło edycję cennej pracy. Jest to, jak słusznie charakteryzuje książkę w przedmowie do ostatniego wydania autor, jakby podręcznik

„zwięzłej historii naszego grodu. Historii takiej — pisze on dalej — potrzebują zresztą wszyscy Polacy w wolnym świecie, zważywszy, że Kraj zmuszony jest do milczenia w sprawie Lwowa, a podstawowa praca zawierająca jego dzieje: Fryderyka Papeęgo „Historia miasta Lwowa w zarysie“ (Lwów 1924) stanowi dziś rzadkość bibliograficzną“.

„Lwów“ Stefana Męcarskiego jest istotnie zwięzłym, ze znajomością i umiłowaniem przedmiotu, przejrzystym i dobrze napisanym podręcznikiem dziejów miasta. W trzech rozdziałach, z których pierwszy pt. „Lwów w dawnej Rzeczypospolitej“ obejmuje okres od 1340 do 1772, drugi — „Lwów pod zaborem austriackim“ od 1772 do 1918 i trzeci „Lwów w wolnym państwie“ dwudziestolecie niepodległości do katastrofy wrześniowej w roku 1939, autor daje syntezę historii miasta, Ostatnimi kilkanaście stron tekstu zajmują przypisy, zawierające razem bogatą bibliografię literatury polskiej i zach. europejskiej, zwłaszcza angielskiej, o Lwowie. Publikacja, starannie wydana, otrzymała skromną lecz estetyczną szatę zewnętrzną.

Jak dowiadujemy się ze wstępu, tomik pióra S. Męcarskiego inauguruje Bibliotekę Koła Lwówian, która ma objąć w szczególności dzieje okupacji wojennej i powojennej miasta. Praca dr Męcarskiego kończy się na roku 1939 i chronologicznie przysłała by po tym pierwsza, blisko dwuletnia okupacja Lwowa przez Sowiety w okresie ich współpracy z hitlerowskimi Niemcami. Był to okres masowego tępienia produkującego społecznie żywołu ziem pld. wschodnich wszystkich narodowości, więc polskiego, ukraińskiego i żydowskiego, których najwrażliwsze i najczystsze elementy rostrzeliano, wyaresztowano i zesłano starym szlakiem polskiego męczeństwa w głąb Rosji. Równocześnie, w atmosferze wytworzonego terroru rozpoczęto intensywną sowietyzację miasta i okupowanego obszaru ziem pld. wschodnich.

Dwulecie tego, pierwszego sowieckiego ataku na polskość i zachodnią cywilizację Lwowa wymaga specjalnej monografii i pióra, które trafi na podstawie bezpośrednich obserwacji oraz doświadczenia własnego nakreślić dzieje odporu, stawianego wówczas przez odrzucające kolaborację, wierne Rzeczypospolitej także pokonanej, społeczeństwo.

Omawiana praca nie jest jedynym wydawnictwem, poświęconym na emigracji Lwówowi. W 1944 r. ukazała się w Londynie po angielsku zbiorowa publikacja o Lwowskiej Politechnice, jako w setną rocznicę jej założenia pt. „Centenary of the Technical University of Lwów 1844-1944“. Na 103 stronicach przedstawia ona dzieje uczelni na szerszym tle kultury i roli miasta, schemat programu i organizacji Politechniki oraz imienny wykaz ostatniego przed wojną ciała nauczającego. W Chicago przed kilku laty tamtejsze Koło Lwówian, za finansowym wsparciem znanego z ofiarności inż. Z. Poray-Lukaczynskiego, wydało piękny „Album“ fotografii miasta. Dalej, w 1959 r. ukazała się w Londynie, bogato ilustrowana, książka znanego przyjaciółki Lwowa i pisarki francuskiej, Róży Bailly pt. „A City fights for freedom, The Rising of Lwów 1918-1919“. Ostatnio wreszcie, cenne Biuletyny londyńskiego Koła Lwówian stanowią zarazem periodyk poświęcony miastu, a wydany przez tę organizację plan Lwowa rozchodzi się szybko wśród jej członków, przypominając im drogie szczegóły rodzinnego grodu i chroniąc przed zatarciem się ich w pamięci.

*) Stefan Męcarski, „Lwów“ — karta z dziejów Polski“ wydanie drugie, nakładem Koła Lwówian, Londyn 1962, stron 112, ilustracja na okładce i 15 wewnątrz książki. Tłoczone w drukarni Gryf Printers, skład główny: Alma Book Co. Ltd. — 9, Lenthall Place, Gloucester Rd, London S.W.7. (dawna księgarnia A. Mazzucato we Lwowie.)

NA WYCZERPANIU

NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA POLSKI (tom III-ci — 912 stron)

Władysława Pobóg-Malinowskiego

OSTAŃNIE egzemplarze w cenie 50/- do nabycia w GRYF PUBLICATIONS LTD, 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11 i we wszystkich księgarniach polskich

BILETY,
SPROWADZANIE RODZIN
Z POLSKI

ANGLOPOL

Tel. FRE 1155

TRAVEL

121, Earls Court Rd., London, S.W.5

Polskie życie kulturalne

POCZĄTKI SEZONU ODCZYTOWEGO I MUZYCZNEGO

W brew wszelkim, nie bardzo po- czytelnym, wystąpieniom przeciwko akcji odczytowej, właśnie ten dział imprez kulturalnych zaczyna się co- raz piękniej rozwijać w polskim ośro- dku londyńskim. Widoczna zmiana w nastawieniu młodszego pokolenia w stosunku do odczytów zaznaczyła się na kolejnym wykładzie publicznym orga- nizowanym przez Polski Uniwersytet na Obczyźnie w sali tzw. Domu Tech- ników. Prof. dr W. Guenther mówił na temat „Polskiego romantyzmu w poezji i życiu”, a wśród słuchaczy po- raz może pierwszy przeważał element młody, majoryzując liczbowo starszych słuchaczy. Rozbudzenie tej wzmoczonej fali zainteresowania tymi zawsze bar- dzo gruntownie przygotowanymi wy- kładami, podającymi w skrócie istotne momenty z polskiego dorobku kul- turalnego w nawiązaniu do doby obec- nej, jest niewątpliwie następstwem i zasługą zmian personalnych, jakie za- sady ostatnio w organizacji młodzieży akademickiej, a zwłaszcza Stowarzy- szenia Polskiego na Uniwersytecie Lon- dyńskim, Prezesem zarządu została p. Gutman.

Podobne wzmoczone zainteresowanie wśród słuchaczy zaznaczyło się rów- nież na odczycie red. J. Ostrowskiego pt. „Osobliwy rok kulturalny”, który poświęcony był omówieniu całokształ- tu polskiego ruchu kulturalnego w Londynie w r. 1962. Jak podkreślił w swym zagajeniu kierownik Klubu Pol- skiej YMCA, — w której odczyt miał miejsce — p. Bolesław Lesiecki, był to 10 rok z rzędu, w którym taki odczyt został zorganizowany i wygłoszony. Prelegent zaznaczył więc od razu, iż cała inicjatywa tych imprez jest zasługą p. Lesieckiego, który w dzie- dzinie organizowania polskiego życia kulturalnego w Londynie zajmuje jed- no z czołowych i wyjątkowych miejsc. Na sali zebrano się z półsetki słucha- czy reprezentujących najrozmaitsze dziedziny polskiego życia kulturalne- go, jak A. Cwojdzkiński i B. Reńska (teatr), ks. dr S. Belch (filizofia), prof. M. Bohusz-Szysko i S. Arvay (plastyka), I. Karpińska (etnografia), M. i O. Lisiewiczowie i R. Orwid-Bul- licz (literatura), inż. M. Makowski (technika), W. Rago (architektura), i inni. Po odczycie odbyła się krótka dyskusja i prelegentowi zebrani zgo- towali bardzo serdeczne przyjęcie. Pełny tekst tego odczytu ogłaszamy (w dwóch częściach) na osobnym miej- scu, (str. 5).

W tydzień później w tej samej sali przemawiał przybyły niedawno z Bra- zylji inż. arch. Wiesław Rago, wno- sząc w naszą wciąż odwilżową a nie- doodmrożoną atmosferę swą pogada- nka o „Brazylii na codzień” mnóstwo słońca i niefrasobliwego humoru. O tym nieznanym kraju wielkości równej Europie, bez Rosji prelegent mówił na podstawie autopsji: po przeszło 10- letnim tam pobycie i pracy nad jego zabudową. Dodatkową atrakcją były przeżościa i film (NB, wykonany przez Polaka — Zygmunta Sulistrowskiego) — pełne słońca, nowoczesnych budowli, egzotycznych widoków puszczy i bar- nego życia. Znowu sala była wypełnio- na i prelegentowi zgotowano bardzo serdeczne przyjęcie.

Była to też sposobność do zapowie- dzenia następnego odczytu na temat bardzo polski, choć wygłoszony po angielsku. Mowa tu o odczycie Arthu- ra Hedleya pt. „Chopin seen trough his correspondence”. Prelegent wy- dał przed kilku miesiącami obszerny tom listów Chopina wybranych przez siebie, przełożonych na angielski, i bogato skomentowanych. Jak wiado- mo, Hedley jest dziś jednym z naj- lepszych znawców Chopina na świecie.

Przechodząc do życia muzycznego wypada wspomnieć o przygotowaniu przez Jerzego Witold-Aleksandrowi- cza niezwykle oryginalnego i ciekawe- go wieczoru muzycznego. Złożył się nań koncert staropolskiej muzyki klawe- synowej w wykonaniu młodego klawe- synisty angielskiego Derek Adlana. Wykonał on m. in. cztery utwory nie- znanych polskich kompozytorów z XVI w., 5 utworów z różnych pol- skich tabulatur organowych polskich

z XVI i XVII w. oraz grupy drob- niejszych utworów Bacha (Jana Se- bastiana) i po kilka utworów Rameau i Scarlatti. Koncert ten odbędzie w prywatnym studio muzycznym pp. Aleksandrowiczów.

Tymczasem — jak się dowiadujemy — odbywają się eliminacje kandyda- tów w Konkursie Szopenowskim dla Młodzieży. Rozpoczęły się one 26 stycz- nia i odbywały dalej w dniu 9, 16 i 22 lutego br. Zgłosiło się kilkudziesięciu kandydatów. Jury składa się przeważnie z muzyków angielskich pod przewodnictwem pp. H. Stubbs i prof. S. Niekraszowej. Finał konkursu or- będzie się w sobotę dnia 23 lutego br. w Assembly Hall Uniwersytetu Londyńskiego.

Już po zamknięciu numeru otrzyma- liśmy wiadomość, że zakrojony na du- żą skalę obchód 50-lecia pracy pisar- skiej dr Zygmunta Nowakowskiego w Instytucie Francuskim był manifest- acją polskiego świata artystycznego, świadcząca o popularności pisarza-felietonisty i człowieka teatru w jednej osobie. Na długo przed tym obcho- dem jubileuszowym wszystkie bilety wstępu były wysprzedane i sala tea- tralna Instytutu Francuskiego była wypełniona do ostatniego miejsca.

Wśród licznych gości obecni byli: gen. W. Anders, amb. E. Raczynski, przewodniczący Rady Jedności Naro- dowej dr T. Bielecki, ks. inf. S. Sta- niszewski i wielu innych czołowych przedstawicieli życia politycznego, kulturalnego i społecznego. Program składał się z dwóch części: pierwszą prowadził znany poeta Jan Rostwo- rowski, drugą — Juliusz Sakowski. Po licznych recytacjach i przemówie- niach jako ostatni — niemal o półno- cy — zabrał głos Jubilat. Szczegóło- we sprawozdania z obchodów umieści- my w następnym numerze.

WZROST LICZBY LUDNOŚCI WSI

Według danych warszawskiego Głównego Urzędu Statystycznego (GUS), ogłoszonych z końcem 1962 roku na wsi mieszkało w tym czasie 15,610,000 ludności (w miastach — 14,870,000). W roku ubiegłym — jak podaje to samo źródło na 1000 mieszkańców wsi rodziło się 22,4 dzieci (w miastach — 17 dzieci). Ludność wiejska zajmowała ponad 3,5 miliona mieszkań, co stano- wiło ponad 48,0 procent ogólnej liczby mieszkań w Polsce. Stan zgęszczenia mieszkań był bardzo wysoki, gdyż na 1 mieszkanie — jak informował z koń- cem 1961 r. miesięcznik „Wies Współ- czesna” (nr 12) — przypadało w ska- li krajowej 4,35 osób. W 1962 roku sy- tuacja pod tym względem nie zmieni- ła się, a raczej pogorszyła się. Wybu- dowano bowiem około 45,000 nowych izb, ale jednocześnie zniszczeniu uleg- ły stare mieszkania, liczba zaś lud- ności wzrosła o przeszło 270.000 osób.

W roku ubiegłym nie zmieniła się również sytuacja zdrowotna wsi. Nie objęta ona była w dalszym ciągu u- bezpieczeniem zdrowotnym, wprowa- dzonym po wojnie przez reżim w miast- ach. Jeden ośrodek zdrowia — jak informował w roku ubiegłym (październ- ik) miesięcznik „Wies Współczesna” (nr 10) — obsługiwał przeciętnie 10,000 mieszkańców, a były „rejon, gdzie liczba ta sięga ponad 20,000 lu- dzi”. Jednocześnie „zaledwie 2,000 le- karzy medycyny, to jest 7 procent ogó- łą lekarzy pracujących w kraju, czu- wało nad zdrowiem wsi. Tylko około 1,300 z nich mieszka stale w środo- wiskach wiejskich”.

Jakkolwiek — pisze „Wies Współ- czesna” — wskaźnik umieralności ogóln- iej obniżył się na wsi w porównaniu z okresem przedwojennym, ale nadal różne choroby „w dużym stopniu gnę- bią szczególnie ludność wiejską”. Są to: krzywica u dzieci, próchnica zęb- ów, robaczyce, anemia, „zwłaszcza u niemowląt, dzieci i kobiet ciężar- nych” i inne choroby. „Groźna na wsi — stwierdza miesięcznik — jest nadal gruźlica. Duży procent dzieci i star- szych cierpi na choroby reumatyczne. Narasta problem wirusowej żółtaczki zakaźnej. Szerzą się w coraz większym stopniu choroby układu krążenia i cho- roby nowotworowe, nabierając wagi chorób społecznych”.

(FEC)

KRONIKA WOJSKOWA

STANY ZJEDNOCZONE A. P. W budowie podziemnych wyrzutni rakiet międzykontynentalnych, która trwała przeszło cztery lata, zatrudnio- no około 5.000 firm i ponad 2 miliony specjalistów i robotników. Cyfry te do- wodzą niezbicie, że każda próba dorob- nienia się podobnego odstraszaka przez mniejsze państwo musi lub musiałaby skończyć się niepowodzeniem lub nie- bezpiecznym zaniedbaniem pozosta- tych elementów potencjału obronnego. Związka, że prócz wyrzutni musi powstać odpowiedni zapas rakiet i głowic atomowych lub wodorowych. A- meryka posiada już ponad 40.000 gotowych głowic i bomb obu tych typów, w tym, podług oświadczenia słynnego profesora Lappa, ponad 1.000 głowic i bomb wodorowych, oraz gotowy ma- teriał do wyprodukowania w krótkim czasie dalszych 50.000.

Podziemne doświadczenia atomowe na poligonie w Newadzie, przerwane 12 grudnia, zostały 8 lutego wznowio- ne. Dokonany w tym dniu wybuch był 60-tym wybuchem podziemnej serii, która, jak oświadczył delegat amery- kański Foster na konferencji rozbro- jeniowej w Genewie, już się kończy. W jak fantastycznym stopniu zmiejs- szono wagę bomb i głowic, o tym świadczy najlepiej fakt, że bomba wo- dorowa o mocy 20 megaton waży mniej więcej tyle, ile ważyła bomba atomowa o mocy zaledwie 20 kiloton, zrzucona na Hiroszimę. Dzięki temu olbrzymie bomby B-52 mogą za- bierać po 2 bomby tej apokaliptycz- nej mocy. Obecnie główny wysiłek specjalistów skierowany jest na zmiejs- szenie wagi wodorowych głowic, by międzykontynentalne rakiety „Atlas” i „Titan” mogły być uzbrojone w głowice o mocy 10 megaton, a nie, jak obecnie, o mocy „zaledwie” 4 megaton TNT.

Po sześciu nieudanych próbach udało się wreszcie wystrzelenie nowej wersji A-3 rakiet „Polaris”, w którą ma- ją być uzbrojone atomowe okręty pod- wodne „atlantycznego poolu”, z tym, że wystrzelono tę raketę tylko na 1.800 mil, gdy jej maksymalny za- sięg ma dojść do 2.500 czy nawet 2.800 mil.

Z działu rakiet kosmicznych, obser- wacyjnych lub teletechnicznych warto wspomnieć o wyrzuceniu w kosmos 2 lutego rakiety „Blue Scout”, której przeznaczenie trwałe jest na razie w tajemnicy, ponadto o przygotowa- niach do wprowadzenia w orbitę ziem- ni satelity „Syncom”, który na dys- tansie 22.300 mil ma „wisieć” stale nad jednym punktem globu, wreszcie o tym, że dalsze udoskonalanie obser- wacyjnego satelity „Midas” napotka- ło na ogromne trudności.

Stan liczebny wojska lądowego ma być zwiększony do 980.000. Niezależ- nie od tego sekretarz obrony McNama- ra zapowiedział utworzenie lotniczej dywizji szturmowej, wyposażonej w 460 samolotów i helikopterów. Sztab wojska domaga się uzyskania kredy- tów w wysokości ca 6 mld. dol. na za- kupienie w ciągu 5 lat 6.035 samolo- tów i helikopterów, choć ma ich już ponad 4.000.

Lotniskowiec „Kearsage” o wypor- ności 31.000 uległ dość poważnemu uszkodzeniu wskutek zderzenia się w kalifornijskiej zatoce Monika ze stat- kiem pasażerskim „Oriana” o wypor- ności 42.000 ton, który oczywiście też ucierpiał. By dać pojęcie o fantastycz- nych kosztach związanych z tworze- niem atlantycznego poolu okrętów pod- wodnych z raketami „Polaris”, przy- toczę, że jeden okręt tego typu koszu- je równowartość 41 milionów fun- tów angielskich, nie licząc kosztu rakiet. W drodze corocznej rotacji skie- rowano do 6 floty amerykańskiej, ope- rującej na Morzu Śródziemnym i li- czącej 50 okrętów, na razie 20 luzują- cych okrętów, m. in. największy lot- niskowiec świata „Enterprise” (85.000 ton), lotniskowiec „Forrestal” (60.000 ton) oraz 5 okrętów wyposażonych w rakiety, w tym krążownik „Canberra”.

Lotnictwo chciałoby otrzymać 1.700 nowych myśliwców „F-4 C”, będących tylko nieznacznie adoptowaną wersją znakomitych myśliwców morskich „Phantom”, oraz większe kredyty na przygotowanie superbombowców B-70 o szybkości ponaddźwiękowej. Myśliw- ce bombowe F-105 mogą obecnie za- bierać po 7 ton bomb i rakiet. Trzy samoloty rozpoznawcze słynnego, da- lekosygnego typu U-2, przerzucone w jesieni do W. Brytanii, zostały o- statnio znów do Ameryki wycofane. O ile umowa z Portugalią w sprawie amerykańskiej bazy lotniczej na Azo- rach została po długich pertraktac- jach przedłużona, o tyle jeszcze nie ma pewności, czy umowa w sprawie baz amerykańskich na obszarze Hiszpanii, wygasająca we wrześniu, zostanie przedłużona, bo Hiszpania wysuwa bar- dzo wysubrowane żądania, z których bodaj tym bardziej nie zrezygnuje, że zarysowuje się dość daleko idąca ko- operacja z Francją.

Rok 1961 był dla lotnictwa komu- nikacyjnego, jeżeli idzie o ilość nie- szczęśliwych wypadków, wyjątkowo pomyślny. Na 100.000 godzin lotów przypadał tylko 1,08 wypadek, gdy w 1960 przeciętna wynosiła 1,45.

Grupa przyszłych kosmonautów, przygotowująca się już do swych lo- tów, ma przeciętnie po 2.800 godzin lotów poza sobą, w tym po 1.900 go- dzin na samolotach odrzutowych. Do najbliższego okrążania ziemi, które przewidzane jest na dzień 2 kwietnia, przeznaczony jest major Cooper. Je- go lot ma trwać 27 do 34 godzin, w którym to czasie ma okrążyć zie- mię 18 do 22 razy.

W Pentagonie powstał centralny od- dział II w sztabie przewodniczącego kolegium szefów sztabów, gen. Tay- lora.

W Waszyngtonie mnożą się oznaki, że na Kubie pozostało kilkanaście ty- sięcy wojskowych sowieckich i także kilkadziesiąt ofensywnych rakiet, choć oficjalne kółła twierdzą, że pozosta- ły tylko rakiety typu defensywnego. Ilość uchodźców kubańskich wzrosła do 150.000.

Kage.

SOVIETICA

MOSKWA — PEKIN: POGRZEBIEMY WSPÓLNIE KAPITALIZM

Sowietologia zachodnia wciąż po- nawia zapowiedzi ostatecznego zerwa- nia między Moskwą a Pekinem, ale tymczasem mieliśmy znowu — prze- milczane na ogół w prasie brytyjskiej — manifestację przyjaźni i solidar- ności między obu głównymi stolicami komunistycznego imperium. Okazją była rocznica traktatu wzajemnej po- mocy między Rosją Sowiecką a Chiń- ską Republiką Ludową, zawartego 14 lutego 1950 r. i następnego dnia ser- deczności, wymienione przez samego Chruszczowa z ambasadorem czerwo- nych Chin.

Z okazji uroczystości rocznicowych zapewniano się nawzajem w Moskwie i Pekinie o nierozzerwalności i wieczno- trwałości związku między obu reżima- mi, a prasa zamieściła odpowiednie artykuły. W stolicy sowieckiej Kreml był reprezentowany na zebraniu rocz- nicowym przez marszałka Czujkowa a imieniem Ch. R. L. przemawiał jej ambasador Pan-Cu-Li. W Pekinie rzecznikami obu stron byli, ze strony chińskiej Czang-Czy-Hsian jako przed- stawiciel Towarzystwa Przyjaźni Chińsko-Sowieckiej i ze strony drugiej — ambasador ZSSR w Pekinie S.W. Czerwonenko.

Ważniejszej wymowy nabrał jednak gest Chruszczowa, do którego na przy-

jęciu w poselstwie Laosu Gromyko podprowadził ambasadora Pekinu Pan- Cu-Li. Nikita go demonstracyjnie u- ścisła i stwierdził, że „obie partie współpracują od dawna oraz będą współpracowały na przyszłość. I przy- rzekam wam — dodał — że kiedy rzu- cać będziemy ostatnią grudkę ziemi na mogiłę kapitalizmu, zrobimy to razem z Chinami”.

Nad cześć pogroźką Nikity można tu przejść do porządku ale ostrzeże- nie przed pochopnymi nadziejami na zerwanie osi Moskwa-Pekin lepiej wziąć poważnie. Nie ma w polityce gorszej rzeczy od złudzeń, dyktowa- nych przez własne życzenia. (s)

KOMUNISTYCZNE „PAŁACE ŚLUBÓW”

W szeregu miast Polski wybudowane zostaną t.zw. pałace ślubów. Radio Warszawa informuje, że ostatnio przy- stąpiono do budowy takiego „pałacu” w Chorzwie na Śląsku.

W pałacach ślubów mieścić się będą poczekalnia, duża sala ślubów oraz dwie sale bankietowe, w których bę- dzie można urządzać przyjęcia wesel- ne. Pierwsze śluby w tych pałacach od- będą się już z końcem bieżącego roku. (FEC)

PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

HASKOBA LTD

121, ERLS COURT ROAD, LONDON, S.W.5. FRE 7888
PACZKI WOLNE OD CŁA

Ś. † p. STANISŁAW SUWALSKI

Zmarł w Oslo Stanisław Suwalski. Zgon jego wyżył w szczupłych szeregach uchodźców polskich w Norwegii wyrwę, którą nie łatwo będzie zapelnąć. Bowiem powszechnie lubiany Staś był jednym z najmilszych Polaków, których los wygnal z domu i skazał na osiedlenie w Norwegii. Każde- mu, kto się z nim zetknął udzielał się jego niesłabnący optymizm, jego nie- zmacona pogoda, jego śmiech serdecz- ny i żarty pocieszne. Nie rzadko zda- rzało się, że gdy ktoś chciał się poz- być przygnębienia, zapomnieć i de- skwierających kłopotach, ten szukał chętnie towarzystwa Stasia Suwalskie- go. Przy jego obecności zniknął smutek, chandra, czarne myśli i w pokrzepione samopoczuciu wlewał się z ufnością typowo polskie „jakoś to będzie”.

Nieprzeciętnie inteligentny, łakomy i chłonny rozblysków kultury, rozko- chany na muzyce i śpiewie, sam grał pięknie na fortepianie i harmonii, nie- równany gawędziarz i kawalarz, miał jedną tylko dolegliwość, do której nie- chętnie się przynajmniej: zmęczone, cho- re serce. Obciążone tęsknotą do Pol- ski i sobie najbliższych pewnego ran- ka przestało nagle bić. Nie zdążył Staś dopić kawy, spiesząc się do fa- bryki, pospieszył się, lecz w inną dro- gę.

Był on podchorążym rezerwy, gdy wybuchła wojna. W kampanii wrześnio- wej dostaje się do niewoli niemieckiej, ucieka po drodze z transportu, ukry- wa się w rodzinnej Łodzi, potem w Warszawie, aż w r. 1943 zagarnięty w łapanie wylądowuje się w Norwegii, deportowany na roboty przymusowe. Ciężki orzech do zgryzienia mieli z nim Niemcy. Ktoś widocznie żarliwie modlił się za niego w Kraju, bo nie raz udało mu się odgonić groźną śmierć. Po klęsce Trzeciej Rzeszy i przyjeździe polskich oficerów łączni- kowych z Londynu stanął przy nich jeden z pierwszych do pracy weryfika- cyjnej, opiekuńczej i organizacyjnej wśród 4.000 Polaków, których koniec wojny zastał w Norwegii.

Po odjeździe oficerów stał się du- szą polskiego obozu szkolnego w My- sen. Kiedy w r. 1947 Norwedzy obozy zlikwidowali, Suwalski przeniósł się do Oslo. Choć miał wykształcenie i za- miłowania humanistyczne, nie wzdrygł się przed wzięciem pracy fizycznej w fabryce, najpierw w wytwórni sprzętu elektronicznego, później w przemyśle metalurgicznym i tam szybko wybił się dzięki swojej inteligencji, pilności i sprytności. Dwa razy przeleżał się w szpitalu na to swoje zbiedzone serce. Wyzdrowiawszy pracował do ostatniej chwili.

Tak wyrósł jeszcze jeden grób pol- ski na ziemi norweskiej, grób rzetel- nego Polaka, uczynnego kolegi, czło- wieka ujmujących zalet umysłu, ser- ca i charakteru. Liczne grono Pola- ków, ściśniętych serdecznym żalem, rozstawało się z najdroższym Stasiem na cmentarzu żołnierskim pożegna- niem: spij kolego, w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie.

J. K.

BILETY

KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane ze sprowadzaniem rodzin z Kraju oraz wyjazdy do Polski. Szybko, sprawnie, tanio załatwia

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road, LONDON, S.W.5
Tel. FRE 1186
MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683
BIRMINGHAM 4
63, Dale End, Tel. Central 6260

(FEC)

JEAN CLAUDE

ZIMOWE ROZKOSZE PRZY KIEROWNICY

Paryż, w lutym 1963

ŚNIEG sypał całą noc. Rano ścieżka do naszego pensjonatu była zupełnie zawiana i brnąc w białym piachu po kolana zeszlaliśmy do Grindelwaldu, by szybko załatwić drobne sprawunki, uzupełnić ekwipunek narciarski i zabrać z samochodu resztę rzeczy. Łatwo powiedzieć, ale trudniej zrobić. Na małym placu, gdzie zostawiliśmy Cytrynę, zobaczyliśmy kilka wielkich gór śniegu i w nich, gdzieś w środku widocznie znajdowały się samochody. Mowy nie było by odgrzebać je gołymi rękami.

— Nie nie szkodzi — zawyrokował Marian — nie ma co tracić czasu, idziemy na narty. Pod wieczór weźmiemy z pensjonatu łopaty i odwalimy śnieg, który i tak przestaje padać.

Nie bardzo mi to odpowiadało, bo w samochodzie zostały moje dwa najładniejsze swetry, ciepłe buty „apreski“ i tyle innych drobiazgów, które już dziś były mi potrzebne. Ale nie, z nartami na plecach poszliśmy na stację powiatowych krzeseł i wyjechaliśmy na First — pół godziny jazdy, gdyż nie bardzo mi się chciało nadwyręzać mięśni już w pierwszym dniu. Tym bardziej, że każdy doświadczony narciarz przestrzega, iż najniebezpieczniejsze wypadki to właśnie wypadki „pierwszego dnia“, a później tego „ostatniego zjazdu“ pod wieczór, gdy zmęczony fanatyk białego sportu, z językiem na zamrożonej brodzie, jeszcze się pcha na górę, by jeszcze raz zjechać. Ale Marian, który kiedyś był podobno instruktorem narciarskim w wojsku, wiedział wszystko lepiej od innych i postanowił tu mną dowodzić.

W Grindelwald nigdy przed tym nie byłem i tego zjazdu z Firstu nie znałem. W prospekcie tylko zdążyłem przeczytać, że są tam dwa zjazdy, jeden na wprost, czarny, bardzo trudny, dla rzeczywiście wprawnych narciarzy. Drugi czerwony, nieco łatwiejszy i tym właśnie zjechać.

Na górę natknęliśmy od razu na tablicę z ogłoszeniem, że ze względu na niebezpieczeństwo lawin z powodu dużych opadów śnieżnych, zjazd czerwony jest zamknięty. Pozostawała nam ta cholerna, karkołomna czarna trasa.

— Słuchaj Marian — zacząłem rozsądnie argumentować — nie ma co w pierwszym dniu wyczyniać cudów. Radzę zjechać na dół na krzesełach, przynajmniej do połowy trasy.

— Zwariowałeś? — skozył na mnie — zjeżdżać na krzesełach z nartami w reku i bez złamanej nogi.

Weale mnie nie uspokoił, bo już z krzeseł widziałem ten stromy czarny zjazd który z góry wyglądał jak księżycowy krajobraz. Wybój na wyboju, pełno garbów, ani metra gładkiego stożku i do tego wpada on później do lasu. Na jednym odcinku tej trasy odbywają się tu doroczne słynne międzynarodowe zawody. Łatwo mu powiedzieć „jeźdź spokojnie i rób to samo co i ja“. Nie wiem jak on jeździ, bo go nigdy na nartach nie widziałem, a ja zawsze specjalizowałem się na łagodnych pędzłowiskach, gdzie starałem się pomagać samotnym panom. To jest cały urok nart, bo tych pań jest wiele i wdzięczność swą wyrażają szybko i z namietną szczerością. A ten tu pcha się na Firsta i na czarne trasy! Wszystkie narciarki tu chude, przypominają chłopaków i interesują się tylko kristianiami.

Ale co robić? Przypięliśmy narty i Marian ruszył pierwszy. Początkowo stok nie był zbyt stromy i widziałem jak kręcił wąskie, równoległe kristianie. Nawet mu to nieźle wychodziło, ale ja na wszelki wypadek wolałem stare, oporowe luki, bez niespodzianek. Marian czekał na mnie w miejscu, gdzie stok nagle opadał i coś mi wygrażał. Widocznie nie podobała mu się moja rozkraczona sylwetka. Co go to obchodzi? Każdy ma swoją szkołę i styl!

Gdy dojechałem do niego nie powiedział, bo zimno było jak cholera i wiatr dmuchał. Pokazywał mi tylko kijkiem kierunek i dał szusa, na te garby.

Daleko nie ujechał. Coś się nagle zakotłowało, wznosił się tuman śniegu, w którym mignął na chwilę dziób narty, później coś, co przypominało siedzenie i spokój. Po chwili Marian zaczął się gramolić, co trwało dość

długo. Wyglądał jak bałwan ze śniegu, narty mu się odczepiły (widocznie wiązania bezpieczeństwa „puściły“) musiał je w chwicznej równowadze na tym urwisku przypinać, otrzępywać śnieg i widocznie nabrać trochę tchu. Gdy był gotowy znowu dał szusa i znowu powtórzył poprzedni numer: tuman śniegu, kłębowisko, dzioby nart i siedzenie na przemian i to kilka razy i ponownie gramolenie się.

— Ta szkoła nie dla mnie — mruknąłem pod nosem. Upatrzyłem sobie w lewo wskos łatwiejsze miejsce, wycełowałem na nie narty i ruszyłem. Podrzuciło mnie na tych przekleśnych garbach parę razy, ale ustąłem, wykręciłem w lewo pod stok do góry i w naturalny sposób zatrzymałem się. Zrobiłem przepisowy krok zwrotny i na małej szybkości, tym razem na prawo wskos, powtórzyłem manewr, po nim następny. Gdy mi zatrzymanie pod górę nie wychodziło, to prewencyjnie sam siadałem na śniegu i przynajmniej nie fikalem koziołków, jak mój towarzysze. Ten zaś z uporem maniaki odstawiał bieg zjazdowy, wciąż z tym samym rezultatem. Obawiałem się nawet, że spowoduje lawinę, bo było tu ponad metr świeżego śniegu, nie licząc tego, co spadł wcześniej.

Zjechałszy tak do pierwszej od góry pośredniej stacji powiatowych krzeseł — Egg. Marian miał skwaszoną i niewyraźną minę.

— No i co? — zapytałem go.

— Jak to co? Nie — burknął — Człowiek jeszcze nie zna terenu, nie jest w formie i zdaje się, że moje narty do lotu. Musiały się zwichrować — tłumaczył się.

Byłem zdania, że to raczej nogi mu się zwichrowały, ale dałem spokój.

— Co robimy dalej? — zapytałem.

— Co dalej — popatrzył na mnie zdziwiony — zjeżdżamy.

Nie ma frajerów — pomyślałem. Niech sobie sam kark skręci, po co ja mam brać w tym udział?

Ten diabelski czarny zjazd wpadał tu w las. Toteż gdy Marian zniknął za pierwszym zakrętem, odpiąłem najspokojniej narty, kupiłem bilet w dół i spokojnie, na krzesełku zjechałem do następnej stacji pośredniej — Bort. Z prospektu wiedziałem, że od Bort do Grindelwald jest niebieski, łagodny zjazd, dla początkujących. W sam raz dla mnie. Gdy wysiadłem i przypięłem narty, natknąłem się na Mariana.

— A ty co tu robisz? — naskoczył na mnie.

— Jak to co? Zjechałem za tobą.

— Za mną... A może raczej nade mną? Myślisz, że cię nie widziałem z dołu, ty klamczuch i patałachu? Jedyne krzesło, które nie wracało pustę. Czy ci nie wstyd?

— Dlaczego ma być wstyd? Wole zjechać cały niż połamać. Zresztą po twoich zszach z pewnością zamkną tę trasę, bo tyle w niej nawybijałeś dziur — odciąłem się.

— Będziesz teraz zjeżdżał przede mną, niech ja na ciebie z góry popatrzę, rozkażaj. Jak piszesz artykuły o nartach, to udajesz chojraka i bujasz, jaki to z ciebie narciarz. Teraz bez lipy, pokazuj, co umiesz. Tylko tam na rozwidleniu skręćsz w prawo, na Kapf, a nie na lewo, jak to sobie chyba uplanowałeś, bo inaczej byś tu nie wysiadł.

Nie nie powiedziałem, tylko ruszyłem. Dojechałem do tego rozwidlenia, gdzie jedna, czarna tablica wskazywała na Kapf (znowu czarny zjazd), a druga, o pięknym, niebieskim kolorze na lewo. Nie wiem co tam mój towarzysze wykrzykiwał, byłem tylko pewien, że nie splamił swego „narciarskiego honoru“ tym niebieskim zjazdem.

A to właśnie zjazd dla mnie; łagodnie pofalowany, otwarty teren, trasa dobrze wytyczona. Mogłem sobie kręcić wąskie, równoległe kristianie, a nawet podskoczyć na małych wybojach terenowych. Przy końcu jednak wąskim, krętym i dość stromym holwegiem wchodził do lasu. Zatrzymałem się tam, przepuściłem jakąś parę i gdy nikogo nie było, zastosowałem najstarszą metodę: Wziąłem kijki między nogi, siadłem na nie, jak na konia i spokojnie zjechałem przez to niebezpieczne miejsce. Dalej zjazd był znowu łagodny.

W Grindelwald wypytałem się, gdzie jest miejscowe pędzłowisko i poszedłem tam. To miejsce dla mnie. Wielkie, gładkie łagodne stoki, wyciąg narciarski, no i tłum narciarek, a zwłaszcza

takich, które stawiają pierwsze kroki na śniegu. W dziesięć minut tłumaczyłem już arkana pierwszych luków czarnookiej Włoszce o utlenionych włosach i jak mogłem odgadnąć po falowaniu wiatrówki, o kształtach, których nie powstydziliby się Sophia Loren. Postanowiłem sprawdzić to dokładniej, oczywiście w odpowiednich warunkach, a nie na śniegu...

— Przez tego wariata straciłem niemal pół dnia — myślałem — plus dwa dni w samochodzie. Całe szczęście, że to się tak skończyło, bo z tego Firstu mogło zwieźć mnie pogotowie.

Lekki obiad z moją nową uczennicą zjadłem w mieście i do pensjonatu wróciłem dopiero wieczorem. Marian leżał w łóżku i nagrzewał krzyże elektryczną poduszką, pożyczoną od właścicielki. Widziałem, że nawet głowa nie może ruszać — widocznie coś mu i w karku zeszytniało.

— Gdybyś uważnie czytał te moje artykuły o nartach — zacząłem — to byś wiedział, że przed wyjazdem w góry trzeba robić suchą zaprawę, a pierwsze dni spędzać na łagodnym pędzlowaniu, by nabrać formy. A ty wariat pchasz się od razu na Firsta.

— Za parę dni pogadam o formie — mruknął.

— Zależy o jakiej... — odpowiedziałem zagadkowo, myśląc o mojej Włoszce.

Jestem pewien, że on już nigdy nie zrozumie, na czym polega istota uprawiania sportu narciarskiego.

gorzej było z rzeczami w samochodzie. Radio zapowiedziało silne mrozy i Marian nie pozwolił odgrzebywać go ze śniegu.

— W chłodnicy mam mieszanke przeciw zamarananiu do 15 stopni poniżej zera, a radio zapowiada 20 stopni. Tylko ten śnieg może ochronić silnik przez zamrażnięciem, bo nie będę teraz wstawać, by jechać do garażu dla twoich kolorowych sweterków. Cały tydzień czekałszy na zełzenie mrozów.

STEFAN LEGEŹYNSKI

Malarze z Australii

Wystawy w Tate Gallery należą, i siusznie, do wydarzeń w Londynie. Do rzędu ich wliczam obecną wystawę, dającą przegląd malarstwa australijskiego na przestrzeni mniej więcej wieku.

Zasadniczą cechą tego malarstwa jest zależność od sztuki europejskiej. „Jak“ to Europa, „co“ to w pewnej mierze Australia. Tylko w pewnej mierze, głównie w krajobrazie i typach — ludności pierwotnej.

U niektórych są i wpływy amerykańskie, np. u Jeffreya Smarta, który mnie przynajmniej, przypomina rysunki na okładkach amerykańskich tygodników. Bardzo to bliskie kolorowej fotografii.

Wystawa nie jest bezstronna, kilka artystów australijskich, którzy chcieli w tej, reprezentacyjnej, pod egidą bowiem rządu Australii, urządzonej imprezie uczestniczyć, odrzucono. Jej cieżar został przesunięty w stronę malarzy komunikatywnych, co nie znaczy by zrezygnowano z abstrakcjonistów. Myślę, że całość tych, reprezentujących wszystkie niemal szkoły malarstwa do minionego stulecia a nawet 150 lat, obrazów, dobrze określa nam malarstwo Australii. Oparte na doświadczeniach Europy, wchłaniało powoli elementy miejscowe, najpierw dziwność krajobrazu, następnie umieszczając w nim człowieka białego i kolorowego, by w końcu przejąć coś niecoś z pierwotnej sztuki czarnych. Ze nie udało się niczego rewelacyjnego stworzyć, to nie wina malarzy australijskich. Paryż też wiele wjął ze sztuki krajów egzotycznych (w tym samym czasie), najpierw z Japonii, a następnie z Afryki. A miał, co tu dużo mówić, lepszych malarzy.

Najprzyjemniejsi są impresjonisci australijscy, a wśród nich dzieła Artura Streetona wychodzą w całej swej subtelności. Czar impresjonistycznego podania trwa — mimo rozpiętości czasu. Większość obrazów tych bowiem była malowana około roku 1890. A jednak, mimo upływu 3/4 wieku, uznajemy je nadal za piękne i dają nam wzruszenie. Koja nas tak jak potrafią nas zgniwać inne. Zgniwać to było by

CZĘŚĆ II

ADAM CIOLKOSZ

PO GAITSKELLU

(Dokończenie ze str. 1)

nym wzmocnieniem NATO nie mogło pozostać niezauważone w Ameryce.

Najważniejszy w mowie Wilsona był nacisk położony na konieczność przełamania stagnacji gospodarczej, przyspieszenie tempa wzrostu produkcji przemysłowej w Anglii. Jako metodę zaleca Wilson gospodarkę planową, planowanie rozwoju przemysłowego. Jego remedia przypominają remedia stosowane przez rząd Attlee w latach 1945—1951 (Wilson był w tym rządzie ministrem handlu). Są między nimi bodźce w postaci ulg podatkowych; gwarancje państwowe dla zamówień; inicjatywa państwowa w budowaniu, wyposażaniu i prowadzeniu fabryk tam, gdzie gospodarka prywatna wykazuje dziś luki.

Wilson zwrócił też uwagę, że załamanie się rękowań brukselskich i prawdopodobieństwo dyskryminacji towarów importowanych z Anglii prowadzi do wzmocnienia inwestycji angielskich na kontynencie i do budowania przez kapitał angielski fabryk w krajach Wspólnego Rynku. Stąd — zdaniem Wilsona — konieczność utrzymania a może nawet wzmocnienia kontroli obrotów dewizowych z zagranicą, by nie dopuścić do ucieczki kapitałów na kontynent i zmusić do inwestowania w Anglii. Natychmiastowa riposta kanclerza skarbu Maudlinga, który z całą stanowczością odrzucił tę myśl i dowodził, że przemysł angielski musi inwestować na kontynencie — w granicach, na jakie pozwala bilans płatniczy — była zapowiedzią walki, jaka rozegra się pomiędzy konserwatystami i labourystami na temat „kontroli“ rządowych.

Na razie trzeba poprzestać na stwierdzeniu, że zarysowany przez Wilsona program gospodarczy przedstawiał się poważnie i przekonywująco i znalazł w ogół dobre przyjęcie w prasie. W przeciwstawieniu do pewnej bezradności i immobilizmu rządu Macmillana po klęsce brukselskiej, program Wilsona wydaje się interesujący nawet tzw. sferom gospodarczym. Oznacza bowiem ekspansję, wskazuje jej kierunki i szkicuje jej metody. Jest przy tym kon-

kretny, np. koncepcja budowania kolei żelaznych w młodych państwach brytyjskiego Commonwealth of Nations, co musiałoby oznaczać duże zamówienia dla przemysłu na parowozy, tabor i szyny kolejowe — brzmie bardzo zachęcająco dla wszystkich czynników eksportu angielskiego, zaczynając od fabrykantów a kończąc na robotnikach. Dominantą myślenia rządu Wilsona, tak samo jak swego czasu rządu Attlee, będzie pełne zatrudnienie, myśli tej będzie podporządkowane wszystko w działalności gospodarczej rządu.

Czy dojdzie do utworzenia rządu Harolda Wilsona? Ostatnia ankieta Gallupa, ogłoszona w dniu 11 bm., wykazuje, że gdyby dziś rozpisano wybory, 48 proc. kraju głosowałoby za Partią Pracy, 32 i pół proc. za konserwatystami, 10 i pół proc. za liberałami, co dałoby labourystom przewagę w Izbie Gmin jeszcze większą niż w r. 1945. Nie jednak nie wskazuje na to, by Macmillan zamierzał rozwiązać parlament i rozpiąć wybory teraz właśnie, gdy partia konserwatywna jest osłabiona szeregami niepowodzeń. Macmillan ma czas do jesieni 1964 r. przypuszczalnie jednak rozpisze wybory w kwietniu 1964, zaraz po budżecie.

Na razie atoli szanse konserwatystów spadają i powszechnie przyjmuje

PAN

(Opow)

W MAŁEJ mieścinie Goworowo, w powiecie ostrołęckim, osiedlił się na stałe wraz z żoną po sprzedaży majątku ziemskiego w okolicach Łomży, pan Felician Tyszkowski. Sprzedając majątek, chciał się pozbyć wszelkich kłopotów gospodarowania, bo nie miał zresztą dla kogo pracować. Tyszkowski dzieci nie miał.

W Goworowie państwo Tyszkowski zakupili duży dom z ogrodem. Pan Felician przywiózł z majątku młodego ogrodnika i nim komenderował. Malżonkowie nigdzie nie byli i nikogo nie przyjmowali — prowadzili spokojny, ale nieco samotny tryb życia. Pan Felician od czasu do czasu odwiedzał swojego ojca, który do pana Feliciana odnosił się z wielką serdecznością i szacunkiem. Gdy zjawiał się pan Felician, ojciec, gdy był nawet bardzo zajęty, rzucił wszystko, zajmując się całkowicie swoim gościem.

Pan Felician, obrzuceniego wzrostu, był już w bardzo podszumy wieku, trzymał się jednak znakomicie. Był to starzec niepospolitej siły, czego często dawał dowody, podnosząc mnie, kilkuletniego chłopaka, na dłoni aż pod sufit, ku przerażeniu mojej matki.

Choć atacał się on pewną tajemniczością, to jednak ojcu było coś niecoś znane z jego życia, o czym zresztą z nikim nigdy nie mówił. Wiedział o tym pan Felician i do ojca mego odnosił się z pełnym zaufaniem. Kiedyś przy podwieczorku, gdy byli tylko sami, zwierzył się ojcu, że brał udział w Powstaniu i że był nawet dwukrotnie ranny. Dla mego ojca nie było to już zresztą tajemnicą.

— A bo to widzi pan, panie Tomaszku — opowiadał swym tubalnym głosem — nie mogłem siedzieć spokojnie, gdy inni zamiast wygodnie urządzone pokoje i łóżka w piernatym na nędzne szałaszy w lesie, w których za podściółkę służyły nam gałki jedliny czy sosny. Poszedłem i ja, zabierając chłopaków z majątku. Na gospodarstwie pozostała żona.

Zacząłem wojaczkę w Puszczy Myszynieckiej, jako że ode mnie było tam najbliżej. Trafiliem do partii, która dowodził Witkowski, dzielny żołnierz i dobry dowódca. Partia liczyła ponad 300 ludzi. Zapał był, ale broni nie było. Sztuczerów i myśliwskich dubeltówek było coś koło setki. Reszta uzbrojona w kosy, a nawet w żerdzie okute żelazem. Dokuczaliśmy Moskalom jak tylko mogliśmy, ale wobec takiego uzbrojenia o jakiejś poważniejszej akcji nie można było nawet i marzyć. Trzeba było jakoś na to zaradzić.

Miałem czynszową kamienicę w Pułtusku, która była posagiem mojej żony. Więcej z tą kamienicą było kłopotów niż korzyści. Jeździłem tam przynajmniej dwa razy do roku by pościagać komorne. Dowiedział się o tym Witkowski i postanowił te okoliczności wykorzystać. Któregoś dnia wezwał mnie do siebie.

„POLAND AND GERMANY“

Kwartalnik wydawany przez Ośrodek Badań Zagadnień Polsko-Niemieckich

Adres korespondencyjny:

20 Princes Gate London, S. W. 7.

„PRZEGLĄD ZACHODNI“

miesięcznik

Zw. Polakich Ziem Zachodnich poświęcony zagadnieniom polsko-niemieckim Ziemiom Zachodnim.

Roczna prenumerata 18/- lub 3 dolary

ZWIĄZEK

POLSKICH I ZIEM ZACHODNICH

20 Princes Gate, London, S. W. 7.

WILSON

Wielki brytyjski premier, że Wilson będzie następnym premierem brytyjskim. Prawda, nie dorasta on do poziomu swego poprzednika na stanowisku lidera Partii Pracy, ale słusznie zauważył oficjalny organ partii konserwatywnej, że i o Gaitskellu nikt nie przypuszczał w chwili, gdy obejmował ten urząd po Attleem, do jakich wyżyn urosnie. Nie należy więc — pisał „Daily Telegraph” — porównywać czy to Browna czy to Wilsona z Attleem z chwili, gdy ten ostatni stał u szczytu swych sił i powodzenia, lecz z Attleem z roku 1935, gdy dopiero obejmował urząd lidera partii. Mierzony tą miarą, Wilson przedstawia się jako olbrzym — i możliwe, że się nim okaże.

Tak tedy ocenia szanse Wilsona organ konserwatywistów. Na razie pewne jest, że Wilson nie uczyni niczego, co mogłoby narazić na szwank jedność partii, z takim wysiłkiem odbudowaną przez Gaitskella. Nie uczyni też niczego, co mogłoby odstraszyć od Partii Pracy wyborców. Najbliższa kampania wyborcza będzie więc dla konserwatywistów bardzo trudna. Dużo zależy będzie od tego, kto ich do najbliższych wyborów poprowadzi, Macmillan czy też ktoś młodszy, bliższy wiekiem Wilsonowi. Ale to już inny temat i inne zagadnienie!

N FELICJAN

(opowiadanie z czasów stycziowych)

— Słuchaj uważnie, co ci powiem — odezwał się do mnie. — Pojedziesz do Pułtuska. Jeździłeś tam już, jak mi opowiadano, nie raz. Gdybyś się po drodze, czy już w samym Pułtusku, zatrzymał, łatwo się wytlumaczysz po co tam jedziesz. Do Różana dostaniesz się bez trudności, Lasami. Do samego Różana nie musisz jechać. Sto tam bardzo silny garnizon i most na Narwi jest strzeżony. Bez specjalnej przepustki cię nie puszcza. Dostaniesz adres rybaka, to nasz człowiek, który ci przewiezie na drugą stronę. W pierwszej wiosce za Różanem, do której dojedziesz pieszo (nie jest to zbyt daleko) dostaniesz konia z bryczką. Od kogo? — później ci powiem. No i pojedziesz — daj Boże szczęśliwie. Do Pułtuska nie musisz wjeżdżać. Na przedmieściu, tuż przy samym trakcie, jest kuźnia niejakiego Cywińskiego. To też nasz człowiek. Właśnie u niego jest skład broni. Weźmiesz ile tylko się da. Wrócisz drogą okólną. Cywiński dostarczy ci przewodników. Abyś w tamtą stronę próżno nie jechał, weźmiesz ze sobą trochę różnych gazet i ulotek, które przed kilkoma dniami otrzymaliśmy z Prus. Zostawisz je u Cywińskiego. To wszystko... A pośpiesz się, bo każdy dzień stracony nie da się już odrobić.

— Witkowski tak mi to wszystko wyłożył jak łopata, że nie było już o co więcej pytać. W dwie godziny później byłem już w drodze. Bez żadnych trudności dotarłem do Narwi powyżej Różana, odnalazłem chatę rybaka, który mnie ugościł, oczywiście rybą, i przewiózł w nocy na drugą stronę. Następnie dotarłem do wskazanej mi przez Witkowskiego wioski, dostałem tam konie z bryczką (przypuszczam, że była to własność miejscowego plebana) i ruszyłem w dalszą drogę. Jechałem, też oczywiście, bocznymi drogami i jakoś bez żadnych przygód dojechałem do wsi Gnojno. Tu musiałem już wyjechać na trakt, wiedzący z Różana do Pułtuska. Ujechałem już ze trzy wiorsty, gdy przed wsią Klezszewo natknąłem się na biwakujący przy trakcie oddział piechoty. Trakt był zamknięty kozłami. Chcąc nie chcąc musiałem się zatrzymać. Do bryczki podszedł jakiś młody oficer i zaczął mnie badać; kto, skąd, dokąd, po co itp. Opowiedziałem mu o mojej kamienicy w Pułtusku i komornem. Jako dowód rzeczowy pokazałem mu przygotowane kwity dla lokatorów. Oficer słuchał, kiwał głową i w rezultacie zdecydował: „Nu tak wy, pan, możecie jechać w Pułtusko. Ale dam wam żandarma, który was odwiezie i na miejscu sprawdzi, czy to wszystko jest prawda”.

Jakiś protest z mojej strony nie miał by najmniejszego sensu. O tym zresztą wcale nie myślałem. Jeden z żandarmów, których przy piechocie było kilku, wsiadł na bryczkę, kozły rozsunął i ruszyliśmy. Przejechaliśmy Klezszewo. Przed nami ukazały się

(Odczyt wygłoszony 6. II. 1963 w sali Polskiej YMCA. w Londynie). ...

JAN OSTROWSKI

Osobliwy rok polskiego życia kulturalnego w Londynie

K AŻDY rok jest osobliwy na swój sposób. Osobliwością ubiegłego roku jest, że mimo wszelkie przemiany światowe, nasze polskie życie kulturalne na uchodźstwie nie uległo skurczeniu. Cokolwiek i ktokolwiek chce powiedzieć, że emigracja się „kończy”, że leży i już się nie rusza można odpowiedzieć: e pur si muove! Czyli — rusza się, (żyje) życie jej toczy się z niezmienną szybkością w Londynie. Z szybkością 365 wydarzeń na rok (dokładna liczba zebranych danych na rok 1962 wynosi 363), czyli około 1 wydarzenia dziennie. Mowa tutaj o wydarzeniach o charakterze publicznym.

Gdy mowa o ruchu kulturalnym, jak w wypadku wszelkiego innego ruchu — trzeba zapytać: kto ten ruch robi? I na to statystyka ma swą szybką odpowiedź. Ten ruch kulturalny w sercu Polski poza Krajem napędzany jest przez niemal tyleż osób, ile jest dni w roku. Magiczna liczba 365 działaczy kulturalnych utrzymuje polskie życie narodowe i polską twórczość kulturalną, a więc artystyczną, naukową, literacką, teatralną czy filmową, muzyczną czy graficzną na powierzchni życia.

NEKROLOGIA

Tak przedstawia się ogólny obraz widziany z perspektywy statystyki rocznej. Ale jeśli przyjrzymy się tej magicznej liczbie z bliska, to zobaczy-

my na n.e.j., jak na słońcu wielką czarną plamę. Na plamę tą składa się zespół wydarzeń smutnych pod wspólnym tytułem „NEKROLOGIA”. Zebrało się w tym roku 38 nazwisk — które były mocno związane z naszym życiem narodowym, i rzecz jasna z naszym życiem kulturalnym przede wszystkim. 21 z samego Londynu, 7 z Anglii, 4 ze świata, zwłaszcza z USA, i 6 z Polski — ludzi, którzy w niektórych wypadkach do ostatniej chwili byli jeszcze wśród nas. Można bez wielkiej przesady mówić o zdisiatakowaniu szeregów naszych działaczy kulturalnych. Smutny to fakt, ale proces ten jest nieunikniony i musimy to przyjąć, że będzie postępował. Na pociechę możemy tylko zwrócić uwagę na fakt, że w szeregi tych działaczy w postaci artystów, młodych uczonych, literatów czy publicystów wchodziły ludzie młodzi i do pewnego stopnia przyczyniają się do utrzymania na stałym poziomie naszego stanu liczebnego.

Szczególnie uderzony został w ub. roku teatr polski na emigracji tracąc Helenę Gromnicką-Dygatową, Teodorę Cwojdzką-Bohdanską, Stefana Antoniego Łaskowskiego, Nauka straciła prof. Stefana Stasiaka, dr. Marka Wajsbłuma, Janinę z Rewkowskich Zabielską, dra Józefa Ekkerta, prof. A. W. Jakubskiego, dziennikarstwo i literatura: Ignacego Karola Arnolda, Ryszarda Piestrzyńskiego, (który w tym samym roku stracił brata w Polsce Eugeniusza Piestrzyńskiego); Władysława Pobóg-Malinowskiego, Stefana Lochtina, Juliusza Stanisława Leo, Pawła Czerwińskiego, Bogdana Niemczyka, no i dra Felicjana Sławoja-Składkowskiego, którego zarzeczem zaliczyć można do grupy dawnych dygnitarzy państwowych i wojskowych, jak płk. Roman Witorzeniec, Władysław Jaszczółt, rtm. Mieczysław Jajłowicki, płk Stanisław Gauza, gen. Walerian Czuma, płk Marian Zimnal, gen. Sergiusz Zahorski, gen. Izidor Modelski, płk Stefan Dąbkowski, jakże popularny niegdyś płk Tadeusz Bastgen, i inni. Nie zapominając o tak czyn-

nych paniach jak Wanda Englertowa, Cecylia Raczynska, albo Zofia Turska.

PLASTYKA

Od kilku lat jesteśmy świadkami coraz większego majoryzowania życia kulturalnego w Londynie przez polskich artystów. Nikt z nich nie umiera, a coraz więcej maluje i to do brzo maluje. Nie mówię tego tylko pod wrażeniem tego, co czyni ośrodek skupiony dookoła a właściwie umieszczony w samej YMCA'e, gdzie znowu liczbowo całe życie plastyczne Londynu majoryzuje jeden jedyny człowiek w swoim rodzaju — prof. Marian Bohusz Szyszko. Na zarejestrowanych 71 wydarzeń plastycznych 44 zostało dokonanych przez Bohusza-Szyszko. Sekundował mu Stefan Arway, który wyróżnił się także w tym roku światną wystawą własnych prac fotograficznych. A jeśli mowa była o wysforowaniu się artystów polskich przed tuziemcami i to w dziedzinie, gdzie tamci czują się szczególnie silni, to właśnie miałem na myśli polskich fotografików, którzy od kilku lat z rzędu utrzymują się na pierwszym miejscu w konkursach różnych grup zorganizowanych artystów sztuki fotograficznej. Dowodzi tego otrzymane również w tym roku pierwsze miejsce w zawodach klubowych.

Jak cały rok okrążył artyści polscy miejscowi i niekiedy przyjezdni z Francji lub Polski urządzają wystawy i osiagają coraz większy rozgłos, o tym świadczą recenzje w czołowych dziennikach angielskich jakie im są poświęcane. W Drian Gallery prowadzonej przez Halinę Nalecz, niezmordowaną orędowniczkę sztuki plastycznej swojej i obcej, abstrakcyjnej i ostatnio coraz częściej nie abstrakcyjnej, oraz w Galerii Grabowskiego, z regularnością zegarka i z systematycznością i precyzją więcej niż aptekarską, pokazuje się każdy cenniejszy przejaw sztuki polskiej, obok różnego rodzaju przejawów sztuki obcej. Dzięki nim — a nie tylko nim — znane są nazwiska Adamowicza, van Hardta,

Neimana, Ludki Pink, Tesnera, Krąjberga, Nalecz, Michałowskiego, Potworowskiego, Kleczkowskiego, Hermana, Brzechwy, Kłosa, pań: Heatland, Thornton i Ginter, Wasa, Karczewskiej, Szafranka, Kałuckiego, Wrońskiego, Kuhna, Gorgolewskiego i Żulawskiego.

Niesposób byłoby tu wliczyć z równą sprawiedliwością nazwiska wszystkich wybitnych i zasłużonych fotografików polskich, ale niektórych z nich przykładowo należy wymienić. Będą to nazwiska A. Arvaya, S. Arvaya, E. Baziuka, R. Grzymały, B. T. Lesieckiego, J. S. Lewińskiego, J. S. Markiewicza, W. Marynowicza, A. Repuchy, L. S. Stanton-Świeckiego, M. H. A. Wondraczka, L. Kinasza i wiele innych.

FILM I TEATR

Ze sztuk szczególnie rzucających się w oczy, bo widowiskowych, pierwsze miejsce wciąż zajmują w ogólnym zainteresowaniu teatr, ale pod względem ilości przedstawień musi on ustąpić miejsca filmowi, który skupia na sobie coraz więcej uwagi w życiu kulturalnym polskiego Londynu. Tak też jest i w roku omawianym obecnie, kiedy to na ogólną liczbę 74 widowisk przemierowych, czy pseudozeroekranowych, było 52 wyświetlań filmowych, gdy imprez teatralnych było 22. Każdy z tych działań wymagałby osobnego omówienia. Na własną twórczość choćby krótkometrażową i wąskotaśmową emigracja się dotychczas nie mogła zdobyć. Natomiast niektórzy aktorzy polscy zdolali się dostać do miejscowej produkcji filmów, zwłaszcza zaś telewizyj.

Z TEATREM jest sprawa inna i szczególnie osobliwa. Formy teatru uległy rozbiću, zróżnicowaniu. Miewaliśmy po 25 premier rocznie teatru dramatycznego dla dorosłych — obok tego był tylko kabaret czy teatr rewiowy. Obecnie mamy tylko po 4 premiery dramatyczne teatru dla dorosłych rocznie.

Natomiast obok tego mamy prosperujący artystycznie, ale robiący bokami materialnie Teatr dla Dzieci i Młodzieży, który dał w ub. r. dwa widowiska „W noc wigilijną” i „Za wielką wodą”. Było 7 widowisk teatru rewiowego, mówimy o widowiskach premierowych, powtórzeń nie licząc, nado były cztery pokazy Teatralnego Warsztatu Młodych pod kierownictwem Barbary Reńskiej oraz 4 przedstawień teatru amatorskiego sztuk dla młodzieży wystawionych przeważnie na periferiach Londynu.

Cztery widowiska teatru dramatycznego były dobre i dobrze przygotowane i złożyły się na pozytywny sezon teatralny. Szczególnym nabytkiem sceny emigracyjnej w Londynie było pozyskanie talentu autora dramatycznego i reżysera w jednej osobie Antoniego Cwojdzkiego, przybyłego z Nowego Jorku na stałe do Londynu. Przyjazd ten wypadł w bardzo szczęśliwej chwili, gdy teatr londyński wymagał wsparcia dla zachowania równowagi i powagi. Gdyż o ile na zewnątrz sezon teatralny rozwijał się spokojnie i jakby nigdy nie, za kulisami życia teatralnego wrzało ponad miarę i działały się rzeczy nie budujące, które przetrwały także na łamach prasy. Wszystko okazało się burzą w szklance wody nad którą zdrowe życie społeczne przeszło do porządku.

W tym zagrożonym ekscesami okresie szczególnie pozytywne wyniki osiągnął Teatr Młodych, który okazał się placówką prowadzoną bardzo celowo i dającą duże wyniki wychowawcze nie tylko w zakresie przygotowywania ewentualnych przyszłych sił scenicznych, ale również w zakresie rozwijania osobowości młodych ludzi w okresie dla nich szczególnie wrażliwym i rozwijania rozbudzonego już w domu rodzicielskim świadomego poczucia narodowego.

Dla całości obrazu należy wspomnieć o rodzaju jubileusz, jaki przygotowano dla uczczenia działalności aktorskiej i teatralnej w ogóle seniora aktorstwa londyńskiego Józefa Bzowskiego. Pamiętać należy, że jubilat na ostatnie lata swej działalności wziął na swoje barki ciężkie zadanie zbierania i przechowywania materiałów o ruchu teatralnym na emigracji, które powinny stanowić podstawę przy przyszłych opracowaniach historycznych, dotychczas bardzo zaniedbanych. O uznaniu społeczeństwa dla teatru świadczy ufundowanie przez niego nagród aż z 4 źródeł.

(d. c. n.)

XV-lecie Koła Przyrodników im. Kopernika w Edynburgu

Koło Przyrodników im. M. Kopernika w Edynburgu rozpoczęło 15-ty rok swej owocnej działalności. I z tego to właśnie powodu doroczne walne zebranie Koła, które odbyło się w niedzielę 17 lutego, miało bardziej uroczysty charakter.

Prezes zarządu Koła, dr Br. Sliżyński, złożył sprawozdanie nie tylko z rocznej działalności Koła, ale podkreślił również to wszystko, czego dokonało Koło w ciągu 15 lat swego istnienia. Ze sprawozdania zebranie dowiedziało się, iż w ciągu lat 15 odbyło się 212 zebrań, na których wygłoszono tyleż odczytów, prelekcji i wykładów, a których wysłuchało ponad 4.000 osób. Ponieważ członkostwo Koła nie pociąga za sobą żadnych składek, Koło swoje skromne wydatki pokrywa z darowizn i dochodów z imprez. Rok sprawozdawczy zakończył się bez deficytu.

Na wniosek Kom. sji Rewizyjnej walne zebranie udzieliło ustepującemu Zarządowi absolutorium z podziękowaniem. Przeprowadzone wybory do władz Koła nie wniósł nic nowego, z tym, że z Zarządu ustąpił mgr J. Kruk-Wantuch, ale wszedł on do Komisji Rewizyjnej.

Na rok 1963 zarząd Koła opracował pełny program odczytów i wykładów w liczbie 21. Obradom przewodniczył dr Rajski, sekretarował płk Ruchaj.

Po zakończeniu walnego zebrania inauguracyjny odczyt o Powstaniu Stycziowym wygłosił prof. dr Leon Koczy z Glasgowa. Dr Koczy, jako prelegent, cieszy się olbrzymią popularnością we wszystkich ośrodkach polskich w Szkocji. I tym razem wysłuchano starannie przygotowanego odczytu z wielkim zainteresowaniem i w skupieniu. Na samym wstępie prelegent podkreślił, iż nie ma zakątków w Polsce i na emigracji, gdzie by nie obchodzone w sposób najbardziej uroczysty 100-ty rocznicy Powstania Stycziowego. Przypomniał on następnie o przemówieniu Józefa Piłsudskiego w wielkiej sali Colosseum w Warszawie na akademii zorganizowanej dla uczczenia 75-tych rocznicy Powstania.

Z kolei prelegent podkreślił charakterystyczne cechy Powstania Stycziowego, w którym: nie było wielkich bitew — były potyczki, nie było wodzów — byli dowódcy poszczególnych drobnych oddziałów, nie było broni —

główną bronią powstańców była kosa.

Jako historyk, prelegent nie pominął ważnego faktu, jakim jest olbrzymi brak źródeł historycznych, co należy tłumaczyć tym, iż powstanie działało w konspiracji. Akta związane z Powstaniem Stycziowym przechowywane były w cytadeli warszawskiej, a z chwilą wybuchu I wojny światowej zostały wywiezione do Rosji. Zwrócono je Polsce na mocy traktatu ryskiego. Wszystkie materiały spłonęły w zburzonej przez Niemców Warszawie. Podobny los spotkał zebrane materiały i przechowywane w Muzeum Raperswilskim, które również zostały sprowadzone do Warszawy. Poza różnymi pamiętnikami, których wydano już ponad 100, historyk z konieczności musi się opierać na źródłach obcych, a więc na źródłach z różnych względów najmniej miarodajnych. Mówiąc o genezie Powstania Stycziowego, prelegent podkreślił olbrzymią rolę, jaką w wybuchu Powstania odegrał margrabia Wielopolski. Dostyc szczegółowo omówił również warunki, w jakich kształtowały się sily „białych” i „czarnych” i jaki był ich wpływ na wybuch i przebieg Powstania.

Po odczycie prof. L. Koczego zarząd Koła podejmował wszystkich uczestników podwieczorkiem. (B)

800 STUDENTÓW WARSZAWSKICH CHORYCH NA ANGINĘ

W połowie stycznia — jak podało reżimowe radio — Warszawę zaalarmowała wiadomość o epidemii w osiedlu studenckim na Jelonekach. Zachorowało tam na anginę około 800 studentów. Zatrudniono wiele ekip lekarskich i wprowadzono kwarantannę. Źródło zakażenia znajdowało się w stołówce akademickiej, a sama infekcja zawleczona została przez pracowników stołówki. Ponieważ studenci są plemieniem stadnym, żyją w gromadach, infekcja rozszerzyła się lotem błyskawicy.

Energiczna pomoc służby zdrowia — jak zapewnia Radio Warszawa — oraz zorganizowana opieka przez Związek Studentów zdecydowały, że wypadek ten nie pociągnął za sobą groźniejszych konsekwencji. „Było dużo kłopotów i wiele żmartwień dla wszystkich, ale na szczęście należą one już do przeszłości”. (FEC)

BEZRADNOŚĆ REŻIMOWYCH PRACOWNIKÓW KULTURY

Problemy pracy kulturalnej w Polsce należą do częstych tematów reżimowych czasopism i dzienników. „Wśród pracowników wydziałów kultury w całym kraju — pisze warszawski miesięcznik „Gospodarka i Administracja Terenowa” — od dawna widoczne są objawy rozgoryczenia i bezradności”. Nie mogą oni bowiem posiadać swoim obowiązkom głównie z powodu „wiecznej reorganizacji” i redukcji obsady personalnej. „W praktyce wydziały kultury stały się przede wszystkim pomocniczymi organami komisji planowania, wydziału finansowego, urzędu statystycznego i in.” tak, że nie mają one czasu na zajmowanie się pracą kulturalną.

W rezultacie — pisze cytowany miesięcznik — dosłownie wszyscy pracownicy wydziału kultury (przy wojewódzkich radach narodowych) spełniają obowiązki pomocników księgowych, zajmują się zakupem aparatów radiowych, telewizyjnych, książek, płyt, sprzętów, mebli i dopiero po spełnieniu tych czynności mogą „wolny” czas poświęcić kulturze. (FEC)

MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOSĆ

najszybciej, najkorzystniej, najlepiej

wyślesz przez

P. C. STORES

S. BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

Tel.: KNI 0747

POLKA

KSIĘGARSKA

WASYLEWSKI STANISŁAW, ŻYCIE POLSKIE W XIX WIEKU. Opracował, przedmowa i przypisy o-patrzył Zbigniew Jabłoński. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1962, str. 683. Nakład 10 tys. egz.

Jest to pośmiertnie wydany opus magnum Stanisława Wasylewskiego, który do dzieła tego począł gromadzić materiały już w 1921 r. i w tym roku ukazała się zapowiedź „Życia”. W 1936 r. czyli po 15 latach pierwsza redakcja książki była gotowa i miała się ukazać w 4 tomach w ramach znanej serii „Cuda Polski”, poznańskiego wydawnictwa R. Wegnera. Wojna udaremniła ten plan, niszcząc rękami niemieckimi i — niestety — polskimi (jak pisze autor w przedmowie) księgozbiór Wasylewskiego oraz przygotowane już do druku materiały i maszynopisy. Musiał Wasylewski materiał gromadzić i opracowywać na nowo, naprzód pod okupacją w Ossolineum lwowskim, a pod koniec życia na Opolszczyźnie. Ale pracy tej nie mógł już dokończyć. Uczynił to dopiero wydawca Z. Jabłoński, który włożył wiele wysiłku w uporządkowanie chaotycznie pozostawionego materiału i ostateczne przygotowanie go do druku.

Wysitek ten godny był podjęcia, inaczej bowiem poszłyby na marne suma długoletnich badań autora nad dziejami naszej kultury i obyczajów w XIX stuleciu. Wasylewski „bóbując w dokumentach i pamiętnikach” był pisarzem, który najwięcej chyba dzieł i przekazów o tym stuleciu przeczytał i świetnie je — dzięki tym studiom — od strony obyczajowo kulturalnej poznał.

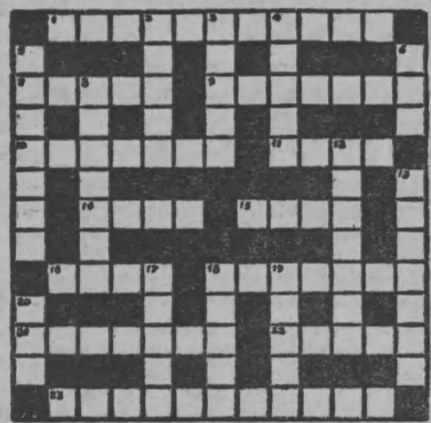
Należy przestrzec czytelnika, aby nie oczekiwał i nie szukał syntezy XIX wieku w tej książce. Wasylewski był olimpijczykiem — rzecz można — mistrzem anegdoty, szczegółu, drobiazgu w zakresie kultury obyczajowej, ale ani ambicji, ani talentu do komponowania syntezy nie posiadał. Nie umniejsza to wszelako wartości dzieła. Wasylewski gromadził fakty, przytacza współczesne relacje, zestawia je z sobą, komentuje i poprzez drobne realia stara się wskazywać ogólne kierunki rozwoju umysłowego, politycznego życia Polaków w XIX wieku.

Dzięki tej metodzie, wspartej na fantastycznym wprost ocytaniu i gruntownym, humanistycznym wykształceniu autora, zapoznaliśmy się z nieprzeliczoną ilością faktów w dziedzinie literatury, prasy, malarstwa, muzyki, teatru, architektury, zwyczajów, ubiorów, słowem wszystkiego, co było ważne w obyczajach polskim moniegonu stulecia. Ważne w odniesieniu do każdej warstwy społecznej, chociaż — jak wiadomo — Wasylewski ze szczególnym upodobaniem (nie bez przymieszki snobizmu) grzebał się w kronice (często: skandalicznej) magnaterii i ziemiaństwa. Dla przykładu „wszystkożmu” taka oto treść rozdziału VI: stroje kobiet w latach 1820-1850; pachnidła, aromaty; krawaty, cylindry, pantalone; strój tradycyjny; laska, cygara, papierosy; sekretarzyk i sztabuch; kuranty, pozytywki, arystony; litografia i dagerotyp; hazard przy zielonym stoliku. A rozdziałów w książce jest 26, w nich zaś kopalnia (najczęściej nieznanych) szczegółów o Dąbrowskim i Wybickim, Niemcewiczu i Mickiewiczu, o Powstaniach, o Wiosnie Ludów, o Mierosławskim i Dembowski, o Chopinie, Skarbkę, Osieńskim, Moniuszce, Matejce, Modrzejewskiej, o ks. Ściegiennym, o cyganerii warszawskiej, o pałacach magnackich w Łancucie, Rogalinie, Kórniku, Poturzyca, o Wielopolskim, o zesłańcach sybirskich, o wynalazcy lampy naftowej Łukasiewicz, itd., itd.

W sumie: niezawodny w swej narracji gawędziarz — przysporzył naszej historii kultury dzieło, które godnie staje obok literatury, jaką pozostawili po sobie Władysław Łoziński czy Jan Stanisław Bystron.

W zakończeniu książki ułożył autor kalendarz wydarzeń XIX wieku (1800-1880) z wszystkimi cechami subiektywizmu kompozycyjnego, ale w celnym na ogół zestawie rejestrującej historię dziewiętnastowieczną. Zastęga wydawcy są staranne przypisy na 64 stronach, omawiające nazwiska i osoby występujące w tekście. Indeks osób i miejscowości zajął aż 23 strony. Książka jest bogato ilustrowana fotografiami, rycinami i rysunkami, wybranych głównie z zasobów Biblioteki Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydana na doskonałym papierze rotograniowym z fabryki w Włocławku — książka potwierdza dobrą rangę publikacji krakowskiego Wydawnictwa Literackiego, chociaż wysiłku introligatora pochwalili niestety nie można. S. M.

KRZYŻÓWKA NR 498/63



ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) określona kolorem dziewczyna; 7) niedolega ze „Słubów Pamiętnych”; 9) owad, który robi dużo hałasu a nie pracuje; 10) na południu Polski, częściowo należy do kowala (wspak); 11) partia polityczna w rzece?; 14) i 15) całość sprzeciwia się twierdzeniu, które w sobie zawiera; 16) cel przedsiębiorstwa; 18) muzułmańska stolica Hiszpanii; 21) kwiat męski?; 22) był nim i Luter; 23) niezależność od obcych.

Pionowe: 2) raz miejsce przysięgi; 3) gąszcz; 4) malarz polski; 5) grający kład?; 6) i 20) z nią na polowanie; 8) niedługo przyleca; 12) ich pułkownikem był Wołodyjowski; 13) chętko (wspak); 17) maszynistka je robi, a piłkarz to robi?; 18) ulubiony temat Kossaka; 19) imię męskie.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 486/62

Poziome: 1) Sadyk, 3) asy, 5) cygan (wspak), 8) romans, 10) idylla, 11) tasak, 12) Jerzy Lubomirski, 15) surma, 16) syn, 18) zgaga, 20) obie, 21) zbieg, 22) żona, 25) gerylas, 26) bastion, 27) przepióreczka.

Pionowe: 1) sorbet, 2) duma, 4) sposób, 6) gala, 7) Czacki, 9) stola, 10) smyki (wspak), 13) zamieć, 14) rogoża, 15) stonoga, 16) Sobieski, 17) niedobór, 19) amarant, 23) elle, 24) cisy (wspak).

AKTORZY TEATRÓW W POLSCE

Według informacji dwutygodnika warszawskiego „Współczesność” w roku 1962 studiowało w Polsce na wydziale aktorskim trzech uczelni teatralnych — 222 studentów. W 44 teatrach w kraju (na 49 istniejących) zatrudnionych było 1901 aktorów etatowo, w tym 723 aktorów po egzaminach eksternistycznych złożonych po 1945 roku.

Zapotrzebowanie na aktorów, które zgłosiły 44 teatry (okres 1962-65), wynosi ogółem 350 osób, w tym mężczyzn (w wieku do lat 40) — 240, kobiet zaś (wyłącznie młode) — 110. „Ponieważ do 1965 roku — pisze cytowany dwutygodnik — ukończył studia aktorskie około 220 osób, pozostanie jeszcze zapotrzebowanie na 128 aktorów, o ile osoby nie posiadające pełnych kwalifikacji nie złożą w tym okresie egzaminu weryfikacyjnego”.

(FEC)

PRZEGLĄD SPORTOWY

Czy Laszlo Papp będzie mistrzem świata?

Przed dwoma tygodniami odbyło się w Wiedniu jedno z najciekawszych od lat spotkań wśród pięściarzy zawodowych: był to mecz między wielkim pięściarzem węgierskim, Laszlo Papp'em a Anglikiem George Aldridge'm o mistrzostwo Europy w wadze średniej, przy czym tytułu mistrzowskiego bronił stary Papp. Stary — gdyż Papp liczy sobie 37 lat a Aldridge 27, różnica więc 10 lat na korzyść Anglika, różnica wielka, której jednak Anglik nie umiał zupełnie wykorzystać.

Ale może najpierw kilka słów o samym Papp'ie, bo warto przypomnieć te sympatyczne sylwetki pięściarską. Dla Węgrów Papp jest postacią legendarną. To taki Nurmi węgierski. Nawet w systemie komunistycznym zrobiono dla niego wyjątek, bo tylko jemu pozwolono przejść na zawodostwo O popularności jego świadczy fakt, iż w uznaniu jego niewątpliwych zasług otrzymał od rządu węgierskiego piękną willę w Budapeszcie. Wydaje się jednak, że najpiękniejszą kartę w swojej karierze zapisał Papp właśnie jako pięściarz amatorski. Był bowiem trzykrotnie mistrzem Europy w wadze średniej i trzykrotnie zdobył złoty medal olimpijski: w Wembley 1948 r., w Helsinkach 1952 r. i w Melbourne 1956 r. Nie ma innego pięściarza, któryby mógł się pochławić takimi sukcesami. Stoczywszy jako amator około 300 walk, z których przegrał tylko 12, stał się jednym z najbardziej doświadczonych pięściarzy. Dodajmy — dla własnej chwały — iż jedynym pięściarzem, który pokonał Pappa w ostatnich latach był Zbigniew Pietrzykowski. To było przed wielu laty i od tego czasu Papp nie doznał ani jednej porażki. Nawet jako zawodowiec, albowiem na stoczonych 21 walk wygrał 19 a dwie zremisował. Od 1957 r. Papp przeszedł na zawodostwo, sądząc, że tu można jeszcze zarobić nieco pieniędzy. Nie łatwa to jednak była droga, a międzynarodowe władze pięściarskie przez lata dość niechętnie ustosunkowały się do Węgra. Papp jest przystojnym pięściarzem i bardzo sportowym w ringu. Raczej niskiego zbył niskiego jak na wagę średnią wzrostu, muskularny o niebywałym refleksie, pięknych unikach, szybkich ciosach z obu rąk, i to ciosach potężnych jak dynamit; zwłaszcza niebezpieczna jest jego lewa ręka, którą masakruje przeciwników.

Papp zdobył tytuł mistrza Europy w wadze średniej w maju 1962 w Paryżu, pokonawszy przez k.o. Annex'a (Francja). Na 21 walk stoczonych jako zawodowiec 10 wygrał przez k.o. a dwie zremisował: z Garbellim (Włochy) i Ballarin'em (Francja). W spotkaniu wiedeńskim typowany był Papp powszechnie jako zwycięzca, jakkolwiek prasa brytyjska ludziła się, że „handlarz jarzyn z Market Harborough” ma szanse na zwycięstwo, bo jest 10 lat młodszy od Pappa. Tak np. korespondent sportowy „Daily Telegraph” Donald Saunders uważał, iż jeśli Aldridge przetrzyma jako pierwszą połowę meczu, wówczas będzie w stanie „ukraść” Papp'owi tytuł mistrzowski zwycięstwem na punkty. Niemniej dodał także, iż mimo dobrej lewej Aldridge jest wrażliwy na ciosy, sam nie dysponuje zbyt silnym ciosem, którym mógłby pokonać tak twardego przeciwnika jak Papp.

Wspominałem, że walka budziła w Wiedniu, gdzie Papp cieszy się szczególną popularnością, wielkim zainteresowaniem. Blisko 16.000 widzów zachęcało gorącymi okrzykami Pappa do walki, placąc za bilety od 14 szylingów do 8 funtów, co — jak na Wiedeń — stanowi olbrzymią cenę.

Sama walka nie była specjalnie ciekawa. Nic się nie zmieniło nawet po 7-mej rundzie po której Aldridge miał rzekomo zapanować bezapelacyjnie na ringu. Przeciwnie: tak jak do 7-mej rundy nieznaczną przewagę Pappa nie ulegała wątpliwości tak ta przewaga coraz wyraźniej zarysowała się po rundzie 7-mej. Rutyniarz Papp walczył niezwykle sprytnie: każdy krok był dobrze obliczony, widać było jak starannie wykalkulowana była (ogłębiam tę walkę w telewizji) cała tak-

tyka Pappa, bo niewiadomo było ile rund trzeba będzie stoczyć. A było ich w końcu 15; nigdy w swej karierze jako zawodowiec nie walczył Papp tak długo. W rezultacie najwięcej energii miał Papp właśnie w rundzie 15-tej, w której zmasakrował nieszczęsnego Anglika, który był w tej rundzie zupełnie wykończony, jak zresztą bezbarwny był w rundach poprzednich. Aldridge nie umiał wykorzystać swego wyższego wzrostu ani dłuższych rąk, ani swej rzekomo świetnej lewej. We wszystkich rundach było wiele luk w walce i zawodnicy jakgdyby się wzajemnie obserwowali, co było właśnie na rękę Papp'owi. Gdy zaś dochodziło do wymiany ciosów bezapelacyjnie górował Papp. Trzeba także przyznać, że walka była niezwykle czysta. Walczono przeważnie na dystans czy półdystans z którego Papp doskakiwał do Aldridge'a i walił to w twarz; zwał: zwał: było niezmiernie mało a jeśli do nich dochodziło to tylko wtedy gdy zmęczony i „plywający” Aldridge szukał w zwarciu ostatniego ratunku.

Dwie rundy były naprawdę ciekawe: 11-ta i 15-ta. W 11-tej w zasadzie rozstrzygnięta była walka i sędzia powinien był już wtedy ją przerwać, tak wyraźna bowiem była przewaga Pappa i tak beznadziejna obrona Anglika. Ale ani sędzia holenderski nie zdecydował się na przerwanie walki, ani sekundanci Aldridge'a nie chcieli go podać. W tej rundzie bowiem chyba 15-cie potężnych ciosów Węgra trafiło Anglika, wstrząsając nim raz po raz. Anglik niemalże zwiślał na linach nie wiedząc co się z nim dzieje. Dwunasta runda była spokojniejsza, bo Papp był wypompany wysiłkiem w rundzie poprzedniej. W 13-tej rundzie powstała nad prawym okiem Pappa mała ranka, która nieznacznie krwawiła, choć w tym czasie Aldridge miał niemal zamknięte prawe oko i twarz całą wyraźnie opuchniętą. Piękna również była 14-ta runda, pod koniec której Anglik nie wiedział w którym rogu znajdują się jego sekundanci. Można było przypuszczać, że w ostatniej Anglik pójdzie na całego i będzie bronił się za wszelką cenę. Ale to właśnie Papp ruszył do generalnego ataku roznosząc dosłownie swego przeciwnika. Niemal na 30 sekund przed końcem rundy sędzia uznał — najzupełniej słusznie w świecie — iż trzeba walkę przerwać. Decyzje te przysięg publicznego entuzjastycznie.

Sprawozdawca radia brytyjskiego (BBC) był Harry Carpenter. Widoczna już w pierwszych rundach porażka Aldridge'a bardzo musiała boleć Mister Carpentera, czemu się nie należy dziwić, choć obowiązywała go szczególna ostrożność w komentowaniu tej walki. Zdaniem bowiem Carpentera, Papp posługiwał się brzydkim trikiem: mianowicie przez całą rundę rzekomo unikał walki a ożywał się dopiero tuż pod koniec rundy i wtedy dopiero zadawał kilka ciosów, by właśnie w ten sprytny sposób wyrzucić jak najkorzystniejsze wrażenie na sędziach. W tej brzydkiej rzekomo metodzie wzorował się na jakimś pięściarzu amerykańskim — tak mówił Carpenter. Otóż niewiadomo czy istotnie taka właśnie była taktyka Pappa, a jeśli nawet była to miał do niej wszelkie prawo, bo stawka była zbyt wielka a różnica wieku przemawiała na jego niekorzyść. Mógł z kolei i Aldridge walczyć przez całą rundę, by Pappowi nie starczyło tehu pod koniec rundy i by sędzia nie miał wątpliwości kto jest lepszy. Stuchaliśmy tej uwagi ze zdumieniem.

Inaczej zrewanżował się Pappowi sam Aldridge, gdy w dniu 9 lutego wystąpił w telewizji BBC. Z całą szczerością uznał przewagę Pappa, podkreślając jego wysoką klasę i szanse na zdobycie tytułu mistrza świata. Następnym bowiem przeciwnikiem Pappa będzie obecny mistrz świata Dick Tiger i być może do walki dojdzie albo w Londynie albo znowu w Wiedniu na otwartym stadionie dla 70.000 widzów. Aldridge twierdzi, że walkę tę powinien wygrać Papp. Życzyłbym mu tego zwycięstwa na zakończenie wielkiej kariery sportowej.

Piłkarze francuscy grożą także strajkiem (wzoruje się na piłkarzach angielskich). Na konferencji prasowej przedstawiciele Związku Piłkarzy oświadczyli, iż wysunęli pod adresem władz Związku Piłkarskiego następujące żądania: nowy system ubezpieczenia graczy; stały procent od wpływów ze wszystkich spotkań międzynarodowych na rzecz Związku Piłkarzy i na fundusz plac, udział stałych przedstawicieli Związku Piłkarzy w Lidze Na-

rodowej i w Związku Piłkarskim. Najważniejsze jest żądanie ostatnie, bo w ten sposób mieliby gracze swoich przedstawicieli w potężnym Związku Piłkarskim. Prezesem Związku Piłkarski jest znany ongiś piłkarz, Just Fontaine, który na mistrzostwach piłkarskich świata w 1958 był królem strzelców i jednym z najznakomitszych graczy francuskich. Po dwukrotnym złamaniu nogi musiał się w końcu wycofać z czynnego życia piłkarskiego i pełni funkcję prezesa Związku Piłkarzy. Być może, że stanowisko piłkarzy francuskich stanie się powodem generalnej reorganizacji piłkarstwa francuskiego, znajdującego się w ciężkich warunkach finansowych. Większość bowiem klubów I i II Ligi żyje z subwencji wpłacanych przez rady miejskie lub z wypłat dokonywanych przez kluby kibiców. Jeśli w najbliższym czasie nie dojdzie do porozumienia wówczas może dojść do odwołania meczu Francja-Anglia w dniu 27 lutego, który ma być meczem rewanżowym w ramach turnieju o Puchar Narodów (dla reprezentacji państwowych). Pierwszy mecz zakończył się remisem 1:1.

Z POLSKIEGO ŻYCIA SPORTOWEGO W W. BRYTANII

Związek Polskich Klubów Sportowych w W. Brytanii (prezes gen. K. Głabisz, sekretarz T. Krasoń) wydał swój pierwszy w tym roku komunikat w którym czytamy m.in.:

„... pora .. otrząsnąć się ze snu zimowego i pomyśleć o nowym polskim sezonie sportowym 1963/64. Choć będzie to rok jubileuszowy: Związek Polskich Klubów Sportowych obchodzi 10-lecie istnienia a zastąpiony Kombatantki Klub Sportowy „Unitas” 15-lecie — spodziewamy się, że seniorzy — sportowcy staną w szranki conajmniej tak licznie jak w poprzednim sezonie i oczekujemy, że ton nadawać będzie emigracyjny dorost: Kluby i drużyny młodzików”.

Konferencja w sprawach młodzieży i sportu odbędzie się dnia 3 marca w „Domu Polskim” Lotnia w Derby. Konferencja odbędzie się w porozumieniu ze Związkiem Harcerstwa Polskiego i Zrzeszeniem Nauczycielstwa Polskiego na Obczyźnie. Na porządku dziennym: 1. Uwagi na temat dotychczasowej akcji krzewienia sportu wśród młodzików, 2. Formy i program pracy wśród młodzików na r. 1963. Działacze, którzy prowadzili prace sportowe wśród młodzików, proszeni są o podzielenie się spostrzeżeniami i przygotowaniem odpowiednich wniosków. Na gospodarzy konferencji poproszeni zostali E. Gitrowski (ZHP) i S. Rosa (ZPKS-Lot).

Doroczny Walny Zjazd Delegatów polskich klubów sportowych odbędzie się 24 marca w „Domu Polskim” (TPP) w Birmingham.

Finały mistrzostw tenisa stołowego odbędą się w dnach 30 i 31 marca w „Klubie Polskim” (Inwalidy) w Birmingham. W programie gry pojedyncze, podwójne, drużynowe oraz turniej pocieszenia. Ze względów oszczędnościowych nie zostaną w tym roku rozegrane gry terenowe (eliminacje). Lecz Kluby proszone są o zorganizowanie przed finałami turniejów wewnętrzno-klubowych względnie poszczególnych ośrodków (np. Manchester, Bradford, Leeds, Nottingham, Leicester, Londyn i okolica).

Mistrzostwa tenisa stołowego młodzików mają się odbyć 20 kwietnia w „Domu Kombatanta” w Manchester. W programie gry pojedyncze, podwójne oraz turniej pocieszenia dla młodzieży do lat 16.

15-lecie „Unitasu”. Kombatantki Klub Sportowy „Unitas” (Manchester) obchodzi w tym roku 15-lecie swej działalności. Klub przygotowuje specjalny program uroczystości oraz program imprez sportowych. Powstał w tym celu „Komitet 15-lecia Unitasu”. W okresie zimowo-wiosennym odbędą się w ramach jubileuszu: 1. mistrzostwa tenisa stołowego młodzików — 20 kwietnia, 2. turniej koszykówki 27 kwietnia i 3. biegi narodowe na przełaj 5 maja.

Mistrzostwa koszykówki — odwołane z powodu złej pogody w dn. 5 stycznia w Birmingham rozegrane zostaną w najbliższych tygodniach. Dokładny termin podany zostanie później.

(p.h.)

CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ

Przyszedłszy do pokoju, stają trochę bezradni, nie bardzo wiedząc, jak przystąpić do codziennego w przyszłości i nieuniknionego obowiązku. Dwa solidne małżeńskie łóżka, zestawione razem, wyglądają bardzo nieprzytulnie. Marek wyczuwa skrępowanie Kasi i postanawia jej ułatwić zadanie. Porywając ręcznik i pidżamę, oświadcza:

— Idę się umyć.

Kasia chwyta się tej myśli, jak deski ratunku, i również śpieszy do łazienki.

Marek nie śpieszy się, chcąc dać Kasi czas na powrót do pokoju przed nim. Powoli i niezwykle systematycznie myje się, bierze prysznic, myje zęby, a wreszcie — po namyśle — goli się. Wszystko to zajmuje mu mnóstwo czasu, tak że wychodząc z łazienki ma zupełną pewność, że zastanie Kasię już w łóżku. Nie myli się.

Kasia, bez okularów, w jakiejś bajecznej, specjalnie na tę okazję kupionej kreacji, odsłaniającej zgrabne ramiona i szyję, czeka na powrót Marka. Po głowie przebiegają jej najrozmaitsze zasłyszane i przeczytane zdania na temat pozycia fizycznego. Jest trochę przestraszona, a równocześnie ciekawa. Zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że jej przeżycia nie są niczym niezwykłym, ale jest aż sztywna z nerwowego podniecenia.

Powrót Marka w pasiastej pidżamie — stroju, w którym go nigdy dotąd nie widziała — budzi w niej dziwne poczucie do obcości. Przez chwilę ma wielką ochotę prosić go, aby całą noc poślubną odłożyć na jutro. Z niepokojem w oczach patrzy krótkowzrocznie, jak Marek siada na brzegu drugiego łóżka i zdejmując pantofle. Jeden pantofel, drugi pantofel — Marek wsuwa się pod kołdrę i wyciąga rękę ku kontaktowi elektrycznemu w kształcie gruszki, wiszącemu w głowach łóżek.

Lampa gaśnie i w pokoju robi się najpierw zupełnie ciemno, a później cieniutka nitka światła lampy ulicznej, przeciskającego się przez niedokładnie zaciągnięte zasłony, zwiesza się w poprzek przeciwległej ściany pokoju. Kasia czuje na policzku gorący oddech Marka i słyszy jego szepot:

— Kocham cię, Kat!

Te słowa zmieniają wszystko. Kasia nie czuje się więcej obca temu nowemu Markowi, który leży obok niej. Ufnie zarzuca mu nagie ramiona na szyję i chętnie podaje swoje ciało pieszczocie jego rąk i dotykowi jego ciała. Skwapliwie oddając mu pocułek, odpowiada:

— Kocham cię, Mak!

Jest w tej chwili zupełnie, bez wahań i zastrzeżeń szczęśliwa.

XXI.

Świat najwidoczniej doszedł do wniosku, że nie należy przerywać szczęścia Kasi i Marka. Polityczne napięcie zelżało do tego stopnia, że uczestnicy składkowej wieczery wigilijnej u pani Zaklewskiej („Nie możecie mi tego odmówić, Kochani!”) mogli swobodnie snuć najrozmaitsze przypuszczenia na temat oczekującej ich przyszłości. Naturalnie, dyskusję rozpoczął gospodarz:

— Teraz to już naprawdę nie wiadomo — oświadczył, nalewając wino w kieliszek Starzewskiego, którego Kasia ściągnęła prawie siłą z jego pustelni u Sroki — a już zanosilo się na coś porządnego.

Pani Zaklewska oburzyła się:

— Wstydziłbyś się, Tosieczku, takie głupstwa przy wili gadać. Wojna — straszne nieszczeście. Grzech o niej mówić w takim dniu.

Starzeski z męską solidarnością pośpieszył na odsiecz gospodarzowi:

— Cóż robić, proszę pani, kiedy wszystko nam o tym przypomina: i radio, i te listy stamtąd...

Stefan Wóycicki

Ziemia przeznaczona

Powieść

Przyszywana muzyka pani Zaklewskiej, pani Regina, osoba wysoka i żyłasta, dobrze już po czterdziestce, zafamała ręce:

— Ach, te listy z Kraju! Ja, proszę państwa, ile razy taki list dostanę, formalnie płacę gorzkimi łzami! Ile tam oni muszą przecierpieć, a my tu jak za dawnych, dobrych czasów — tu gestem potępienia wskazała resztki obfitej wieczerzy, do której zniknięcia przyczyniła się w poważnej mierze.

Marek zirytował się. Nie lubił pani Reginy, która kosztem wielkiego sknerstwa — i systematycznego odżywiania się u znajomych, jak twierdzili złośliwi — kupiła sobie dom, w którym wynajmowała wszystkie lepsze pokoje, sama mieszkając w najmniejszym w suterynie.

— Oni też tam sobie dają radę — powiedział oschle. — I nie jeden z nich współczuje nam.

Regina oburzyła się:

— Jak pan nawet może powiedzieć coś podobnego! Naturalnie, tu cierpimy materialnie (tu pan Zaklewski, który również nie znośli Reginy, dostał nagłego ataku kaszlu, zakończono go dopiero pod karcącym spojrzeniem żony), my tu musimy walczyć o egzystencję wśród niechętnych nam Anglików (pani Regina pracowała w biurze pewnej polskiej instytucji społecznej), ale przynajmniej jesteśmy wolni. A oni nie!

Starzewski wtrącił swoje trzy grosze:

— O, przepraszam, łaskawi pani! Tak się tylko pani wydaje! Nasze zachowanie się, nasze pragnienia i tęsknoty uwarunkowane są ściśle naszym wychowaniem i otoczeniem. Nie tęskni się za rzeczami, o których istnieniu się nie wie. Jeżeli podobna sytuacja potrwa jeszcze przez kilka dziesiątków lat, młodzież w Kraju nie będzie już tęsknić za wolnością słowa.

— Nigdy! — rzuciła się do ataku Kasia. — Nigdy! Człowiek potrzebuje wolności, jak jedzenia, snu, jak powietrza!

Starzeski pokiwał głową.

— Złudzenia, pani Kasiu! Tylko złudzenia! Historia mówi zupełnie co innego: przyniatająca większość mieszkańców naszego globu zawsze żyła w jakiejś formie niewolnictwa — i potrafiła być na swój sposób szczęśliwa. Prawdziwa demokracja — to zupełnie nowa, niewyprobowana jeszcze forma. Komunizm ze swoim ślepych posłuszeństwem i terrorem jest najbardziej konserwatywną partią świata, naśladowcą prastare, od stuleci znane metody. Tylko technika, stosowana przez komunistów dla uzyskania i utrzymania posłuszeństwa, jest częściowo nowa. Reszta to kiegoś imitacja.

— Niezupełnie ma pan słusność z tą nową techniką — zaprzeczył Zaklewski. — Obozy robót przymusowych znane były w starożytności. Piramidy egipskie...

Ale Starzeski nie dał sobie odebrać głosu:

— W starożytności istniała warstwa naturalnych niewolników i warstwa naturalnych wolnych. Rosja zupełnie zatarła granicę między tymi grupami: każdy, poczynając od wszechpotężnego jeszcze wczoraj ministra, a kończąc na żebraku, może w każdej chwili stać się niewolnikiem. I to bez żadnego logicznego powodu. Ot, po prostu przypadek, jak cegła na głowę czy kolejowa katastrofa. To

27) jest nowe i oryginalne. Cóż za fantastyczne pole możliwości!

— Jak pan to rozumie? — pani Zaklewska skorzystała z przerwy oddechowej w tyradzie Starzeskiego.

— Kontrolowane życie fizyczne i życie duchowe, kontrolowane słowa, myśli, sny i marzenia, każda sekunda życia oddana na pastwę bacznych oczom dozorców, śledzo-nych z kolei przez kogo innego. Wizje Orwella i Huxleya równie szybko mogą się stać przestarzałe, jak techniczne fantazje Vernego i Wellsa. Rewolucja techniczna, jeśli chodzi o stosunki społeczno-polityczne, jest już skończona. Żyjemy w okresie rewolucji duchowej. Rewolucja techniczna przerobiła nas na niewolników maszyn, bez których się już nie potrafimy obejść. Nowa rewolucja robi z nas niewolników z ducha i z przekonania, godzących się z niewolą, bo nic od niej lepszego nie znamy.

Na chwilę zapanowała cisza. Zadowolony z wrażenia, wywołanego jego słowami, Starzeski dumnie rozejrzał się wokół. Nagle pani Zaklewska podniosła w górę kieliszek:

— Niech pan mówi, co pan chce, a ja wypiję za to, żeśmy się wszyscy spotkali jak najprędzej w niepodległej Polsce!

Obceni porwali za kieliszki, nie wyłączając Starzeskiego. Pani zaczęły podawać gościom słodczy i orzechy. Zaklewski z pomocą Marka zapalił świeczki na choince. Zgaszono światło i w migotliwym blasku świec pani Zaklewska zaintonowała „Bóg się rodzi“... wspomagana dudniącym basem Starzeskiego. Kołoda za kołodą obijały się o zdumione ściany londyńskiego pokoju.

Marek śpiewał, odnajdując w pamięci strofkę za strofką, wiersz za wierszem z łatwością, która go dziwiła. Kołody przenosiły go daleko, daleko wstecz, do rodzinnego mieszkania na Wspólnej, do wiecznie zajętego ojca, którego właściciel nie znał naprawdę, do zapracowanej, przedwcześnie osiwiałej matki, do smaku nieodzownych klusek z makiem na wilię, do zielonego abażuru zawieszzonej nad stołem lampy i do stołu przykrytego białym, położonym na sianie obrusem.

Te odległe czasy wracały do niego oderwanymi obrazami, drobnymi fragmentami zdarzeń, nie wiążących się w jedną całość: szorstką ręką ojca, łamiącą opłatek, aniołem na szczycie choinki, dotknięciem maceznych ust na czole przy wigilijnych życzeniach. Tak się w tych wspomnieniach zagubił, że nawet dotknięcie ręki Kasi nie od razu przywróciło go rzeczywistości. Dopiero spojrzawszy na jej pogodny, rozśpiewany profil i słysząc jej niewielki, ale przyjemny głos, ścisnął jej rękę w swojej i z nową energią powrócił do kołód, tym razem wiążących go z chwilą obecną.

Korzystając z chwilowej ciszy, spowodowanej wyczerpaniem zapasu pamiętanych melodii, pani Zaklewska zaproponowała, spojrzawszy na zegar:

— Wiecie państwo co? Pogadajmy jeszcze chwilę, a potem pójdziemy razem na pasterkę do polskiego kościoła.

Nie napotkała większego oporu, bo wspólnie śpiewane kołody wywołały u wszystkich potrzebę zespolenia się z większą polską wspólnotą, z tłumem, ze swoimi.

Pani Zaklewska była uszczęśliwiona. Nigdzie i nigdy nie czuła się tak dobrze, jak w gronie znajomych, a już pójdzie w liczniejszym gronie na polską imprezę było dla niej największą przyjemnością. Pozwalało jej to zapomnieć chociażby na kilka godzin, że czasy się zmieniały, zmieniły się warunki, i o najprzykrzejszej ze wszystkich dolegliwości — że Anglia, to nie Polska. A największą radością dla pani Zaklewskiej było zapomnieć o tym wszystkim, chociażby na chwilę.

(Ciąg dalszy nastąpi)

BELGIA

ZGON BELGIJSKIEGO PRZYJACIELA POLSKI

W Belgii zmarł 26 stycznia br. Charles Prus-Piołunowski, potomek emigranta z czasu Powstania Styczniowego. Choć sam nie umiał po polsku i był obywatelem belgijskim, uważał się za Polaka i ostentacyjnie brał udział we wszystkich niepodległościowych uroczystościach polskich. Przed wojną piastował godność konsula honorowego polskiego i do ostatniej chwili uważał, że mandat ten nie wygaś i że w wolnej Belgii winien nadal pełnić obowiązki konsula polskiego wobec uchodźców polskich. Gdzie mógł, pomagał więc Polakom, nie szczędząc poważnych ofiar pieniężnych.

Ś.p. Prus-Piołunowski Polskę nazywał swoją prawdziwą ojczyzną i umarł jak Polak. W czasie pogrzebu trumna jego okryta była sztandarami polskimi, m.in. przedwojennym sztandarem, który p. Piołunowski jako konsul honorowy polski z pietyzmem przechowywał.

Wdowie po ś.p. Zmarłym przesłał kondolencje imieniem Rady Trzech gen. Władysław Anders, a imieniem Egzekutywy Zjednoczenie Narodowe kierownik Działu Spraw Zagranicznych min. Jan Starzewski.

WIADOMOŚCI SPOŁECZNE

W. BRYTANIA

BRADFORD

Akademia 100-lecia Powstania Styczniowego

Staraniem Zjednoczenia Polskiego w Bradford, przy współudziale Kcia Pań SPK i szkoły polskiej SPK, odbył się w wypełnionej do ostatniego miejsca sali Domu Kombatanta obchód 100 rocznicy Powstania Styczniowego.

Uroczystość zagał prezes Zjednoczenia mjr. Marcin Czechowicz. Referat historyczny o Powstaniu Styczniowym wygłosiła p. Weronika Kuslanowiczowa. Podczas prelekcji uczniowie szkoły polskiej demonstrowali na specjalnie przygotowanych mapach przebieg bitew powstańczych.

Udaną część artystyczną wypełniły dzieci ze szkoły SPK. Chór szkolny w strojach krakowskich, którym dyrygował Waldek Pniewski w pięknym ullańskim mundurze, odśpiewał „W krwawym polu“ i inne pieśni. Ale największe wrażenie wywołał obrazek sceniczny odegrany przez p. Zadwórką i grupę dzieci ilustrujący życie rodziny Romualda Traugutta.

Imprezę zakończono zbiorowym odśpiewaniem hymnu narodowego.

NOTTINGHAM

Akademia harcercska r. „1863“

Obchód stulecia Powstania Styczniowego zorganizowali w Nottingham harcerze w imieniu Komitetu Międzyorganizacyjnego. Akademię urządzoną w Domu Lotnika, poprzedziła uroczysta Msza św. celebrowana przez ks. K. Krzyżanowskiego w miejscowej katedrze katolickiej z kazaniem okolicznościowym poświęconym powstańcom 1863 r.

Akademię zagał p. L. Klisiewicz, a głęboko ujęte przemówienie o charakterze i przebiegu Powstania Styczniowego wygłosił przybyły z Londynu prof. Władysław Wielhorski.

Na część artystyczną złożyły się: dziecinna orkiestra mandolistów, która odegrała „Gauze Mater Polonia“ i szereg pieśni, „List z Sybiru“ Artura Oppmana deklamowany przez dh. J. Cietaka, dh. W. Nowicki odśpiewał powstańczy „Marsz Zuawów“ i „Hej strzelcy wraz“. Piękną dekorację sceny według obrazu Grotgera, przedstawiającego grupę powstańców w lesie wykonała dhna Grażyna Zamorska. Całą uroczystość a szczególnie treściwe przemówienie prof. W. Wielhorskiego, wywarła na licznych słuchaczach silne wrażenie.

HUDDERSFIELD

Konferencja rejonowa SPK

Siedem kół SPK obsesła licznie konferencję rejonową SPK w Huddersfield, na której było łącznie 42 działaczy. Informacyjne sprawozdanie z działalności kół składali prezesi: Antoni Pająk z Todmorden, Mieczysław Krasowski z Keighley, Stefan Mazur z Halifax, Franciszek Zarenba z Dewsbury, Józef Rychalski z Leeds, Stanisław Kwiatkowski z Bradford i mgr. Stefan Osuchowski z Huddersfield.

Obradom przewodniczył prez. Stefan Soboniewski, który jednocześnie wygłosił referat wprowadzający. Sekretarzem p. Tadeusz Krasoń.

Na czoło dyskusji wysunęło się zagadnienie zainteresowania działalnością polską dorastającego pokolenia. Wszędzie na tym odcinku SPK może się poszczycić znacznymi osiągnięciami, a w niektórych kołach nawet poważnym sukcesem. Równie udana była inicjatywa wciągnięcia w życie organizacyjne kobiet, które w wielu ośrodkach potworzyły Kola Pań SPK. Omawiając oba te problemy łącznie p.k Eugeniusz Kozakiewicz z Bradford mocno podkreślił, że „obecna działalność kombatancka musi obejmować całą rodziny polskie aby była skuteczna“.

Specjalnym zagadnieniem było omówienie reżimowej działalności dywersyjnej elementów nieodpowiedzialnych, które w pierwszym rzędzie atakują organizację kombatancką jako ostoję działalności niepodległościowej. Właściwe rozpoznanie i ocena tego problemu są zasadniczym czynnikiem skutecznej obrony przed dywersją.

Uobecnie wypłynęła kwestia stosunków z parafianami. W całym rejonie z wyjątkiem Bradford i Keighley współzycie SPK i parafii polskich jest bardzo dobre, a wzajemna współpraca daje jak najlepsze owoce. Na tym tle konflikt w Bradford przedstawia się jako nietypowy, a padła nawet ocena, że jest podsycany przez osobę nieodpowiedzialną politycznie, która głosi teorie podobne do „reżimowych katolików“.

W bogatej dyskusji zabierali głos głos pp. S. Bojarski, P. Korobczyk, p.k T. Danielewicz, H. Szewczyk, J. Żurawski, B. Mróz, E. Kozakiewicz, inż. F. Moroz, T. Krzyżanowski, inż. Michałowski, H. Kidacki. Podczas przerwy Kola Pań SPK podejmowało uczestników konferencji kanapkami, a Dom Kombatanta lampką wina.

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

Poczucie solidarności Zachodu odżywa...

(Dokończenie ze str. 1)

W wykładzie tym, nie nazywając wprawdzie de Gaulle'a po imieniu, co jest zastrzeżone rzekomo Prezydentowi, Dean Rusk'owi i G. Ball'owi, wyraził stanowczą decyzję rządu doprowadzenia do porozumienia się z Francją w sprawie zbrojeń nuklearnych, których sprawa — jak wiadomo — leży u podstaw rozdziewki między Paryżem a Waszyngtonem i pośrednio Londynem. „Jest to poglądem amerykańskiego rządu — powiedział m.in. Bundy dosłownie — że możemy i powinniśmy zrobić znaczny i szybki postęp we wszystkich naszych sprzymierzeniach w omawianiu wzajemnych poglądów na nuklearną rzeczywistość... I rząd ten nie cofnie się przed istotnym zadaniem szukania wytrwałego kontaktu dla pełnego zrozumienia się i — jeśli możliwe — porozumienia się”.

Główne postulaty de Gaulle'a w tym zakresie są ogólnie znane; sformułował je w memoriale z jesieni 1958 r., który złożył rządowi amerykańskiemu a nie otrzymał dotąd odpowiedzi. Chodzi przede wszystkim o dopuszczenie Francji do amerykańskich sekretów atomowych i zrównanie jej w ten sposób w prawach sojusznicych z W. Brytanią.

KUBA OGNISKIEM DYWERSJI POLITYCZNEJ

Oprócz kłopotów z Kubą jako z wojennym arsenałem zbrojnym, którego Sowiety wbrew obietnicom Chruszczowa nie wywakuowały, rząd waszyngtoński ma coraz większe kłopoty z dywersją polityczną, stamtąd podsycającą. Sprawy tę, podkreślaną dotychczas głównie przez opozycję republikańską, poruszył na ostatniej, tygodniowej konferencji prasowej również sam prez. Kennedy. Okazję dał mu alarmujący raport Komitetu Bezpieczeństwa Organizacji Państw Amerykańskich, świeżo złożony, z którego wynika, że na Kubie przygotowuje się projekty obalenia innych rządów Ameryki Łacińskiej oraz — co gorsze — ekipy rewolucyjnej do ich realizacji. Liczny, techniczny i wojskowy personel sowiecki, który znajduje się na Kubie, szkoli je i kieruje wysyłką do poszczególnych krajów. Rewolucjoniści ci rekrutują się głównie ze studentów, których w ciągu ubiegłego roku przybyło na wyspę rządzoną przez Castrę tysiąc dwustu. Ostatni incydent z okrętem Wenezueli, zawładniętym przez komunistycznych piratów, jest nowym fragmentem ciągłej akcji dywersyjnej na zachodniej półkuli, akcji wywołującej zrozumiałą troskę Waszyngtonu.

SUKCES WYBORCZY

W. BRANDTA W BERLINIE

Burmistrz zachodniego Berlina i zarazem prawdopodobny kandydat socjalistów niemieckich na kanclerza Niemieckiej Republiki

Federalnej w razie tworzenia przez nich rządu. Willy Brandt, poprowadził swoją partię w wyborach berlińskich z 17 bm. do znacznego sukcesu. Na 140 miejsc w krajowej izbie zach. Berlina socjaliści zdobyli 89, zyskując w stosunku do poprzedniego stanu, osiągniętego w wyborach z 1958 r. — 11. Mandaty te zostały zdobyte na adenaerowskiej partii chrześcijańskich demokratów, którzy spadli z 55 miejsc na 41. Dodatkową porażką głównego stronnictwa rządu bońskiego jest sukces Wolnych Demokratów, którzy byli bez mandatu w izbie dotychczasowej, a zyskali ich — 10.

Niepowodzenie najbardziej antysowieckiej i prozachodniej w NRF partii chrześcijańsko-demokratycznej nie stało się zwycięstwem komunistów. Przeciwnie nawet, z 1.9 proc. głosów spadli na 1.3, pozostając dalej bez mandatu. Jest to natomiast duży sukces kierunku mniej bezwzględnie oraz nieprzejednanego w stosunku do komunizmu i Rosji. Podczas ostatniego pobytu Chruszczowa z okazji kongresu partyjnego w Berlinie, Willy Brandt wysunął myśl

spotkania się z premierem sowieckim i omówienia z nim ewentualnych ułatwień współzycia między oddzielną murem ludnością zachodniego i wschodniego Berlina. Chrześcijańscy demokraci sprzeciwili się temu, a wybory wykazały, że krok ten znalazł aprobatę zmęczonej długoletnią walką ludności. Wzrost głosów rzuconych na Wolnych Demokratów, skłonnych do linii neutralistycznej, dowodzi także częściowego osłabienia dotychczasowej postawy antysowieckiej. Dezorientacja i chaos, ujawnione w ciągu ostatnich tygodni w tonie obozu zachodniego musiały dodatkowo osłabić zaufanie ludności berlińskiej do polityki tegoż obozu.

Wyniki wyborów berlińskich winny być wszechstronnie rozważone w głównych stolicach zachodnich, zwłaszcza w Waszyngtonie. Ostatnio został rozwiązany parlament włoski i wybory powszechne odbędą się tam w kwietniu, a prozachodnia większość rzymskich izb nie jest bynajmniej murowana. Świat wolny znajduje się wciąż w zbyt dużym niebezpieczeństwie, aby mógł sobie pozwolić w swojej polityce międzynarodowej na spory wewnętrzne i lekceważenie zagrożenia ze strony komunistycznego imperium. Z. S.

ZBIÓR NOWEL P.T.:

„DZIURA W DACHU“ TEODOZYI LISIEWICZ

PRZYJMując określenie Orzeszkowej, że „nowela jest jakby wyinkiem lustra, odbijającym tylko jedno spojrzenie, uśmiech, czy łzę, tylko jeden wyraz twarzy, albo jedno poruszenie duszy”, zrozumie się łatwo zamierzona jednostronność w każdej z trzech nowel, jakie mieszczą się w niedawno wydanej książce Teodozyi Lisiewicz „Dziura w dachu”.

Jest to zresztą tytuł pierwszej noweli, która była drukowana, wraz z następną pt. „Kamień na zakręcie” w „Orle Białym”. Rozmaitość tematyki jest w niej przeniesiona na nieznaną nam szczegółów owej dziury w dachu nad mansardą malarską. Szczegół ten jest znakomitym zbalansowaniem i równowagą początkową akcję noweli z jej zakończeniem. Elipsa ta obejmuje żywot Victora Lebruna i jego rozwinięcie duchowe, pragnąc raz wygodnie dobrze ułożonego życia burżuazyjnego (— jako Lebrun —), a raz niechlujnej, ale pełnej nieokiełznanego polotu atmosfery artystycznej, dla której pozostaje przy swym imieniu jedynie, Victor.

Oba środowiska uzyskały w drobniawej mozaice opisowej T. Lisiewicz charakterystyką je przesyła, ale kolor jaki im został nadany jest tak uderzająco ostry, czasem nawet bezlitośnie jaskrawy, że wraża się w pamięć czytelnika. Podobnie jak nieprzebrzmiałe podpatrzenie G. Zapolskiej, które przeszły do historii literatury, a nawet uzyskały imię pospolite w życiu codziennym. Możnaaby zrobić zarzut autorce, że ta białocarna technika przedstawienia staje się niekiedy parodią (jak stałe powtarzający się obraz brudnych, owłosionych tydek Nadine), gdyby nie wszędzie obecny humor autorki, która — traktując sama rozmaite trywialności poblazliwie i po kpiarsku, zaraża swą postawą czytelnika.

Sięgnięto tu do szuflady, wydobyto

*) Teodozya Lisiewicz, „Dziura w dachu” Nowele, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1962, str. 60 + 2 nl.

reminiscencje dawnych lat, jakie pozostały we wrażliwości artystycznej, ale dodano obecną, dojrzałą ocenę zjawisk. Miał być bukiet w stylu Biedermayer, otrzymano biblijną mannę w nowoczesnym sosie z puszek. Trzeba stwierdzić, że puszka pochodzi z wcale dobrej fabryki przetworów. Technika mozaikowa wysokiego gatunku. Bohema ma siłę przyciągającą nieodparta: Victor — rymopis z własnego popędu, powraca pod dziurę w dachu po latach cnotliwej, nudnie spędzonego życia (— Lebruna —), u boku nieskazitelnej małżonki i dostatniego mieszczańskiego bytu.

O ile „Dziura w dachu” jest wymierzona przeciw mieszczaństwu francuskiej, o tyle ostrze, miejscami bezlitosnej satyry, w następnych dwu nowelach jest skierowane przeciw Anglikom.

„Kamień na zakręcie” podaje przygodę szlachcica angielskiego Sir Waltera Cooka, który chociaż mieszka od lat 30 na stałe w Paryżu, nie utracił ani na jotę swych cech narodowych, z których tak dumni są jego rodacy. Wyobryzmione tutaj do charakteru buffo, występują one w całym swym absurdalnym blasku: wyniosła niechęć do powzięcia decyzji, oczekiwanie na rozwój wypadków bez jakiegokolwiek osobistej interwencji, osławione „understatement”, czyli niedocenianie siebie samego i swoich możliwości, oraz irytacja — bezstronnie nieuzasadniona — która ta właściwość rodzi. Są one same w sobie łatwym żerem dla kpiny i bogatym polem do wydrwienia. W przeciwieństwie do Pierre Daninos, autora „Les carnets du Major Thompson” który ośmiesza ten sam temat, autorka dodaje do niego rysy, które miążdżą doszczętnie wszelkie ludzkie cechy jej bohatera: zupełną obojętność uczuciową i odseperowanie własnej osoby od całego problemu jakiegokolwiek związków sentymentalnych z resztą ludzkości, włączając w to nawet własne dzieci i wnuki. Tak bezlitośna parodia czasami roz-

Sieć szpiegowska „M.S.W.5.”

(Dokończenie ze str. 1)

Toteż musimy postawić następujące pytanie: Kto był bezpośrednim szefem szpiega Bitońskiego? Czy przypadkiem nie był nim pierwszy sekretarz reżimowy „ambasady” w Paryżu obywatel Władysław Wojtasik?

Po tym — koniecznym — uzupełnieniu podanych już wiadomości — wracamy do frapującej opowieści.

Jak już wspominałem w poprzednich korespondencjach, wykluczony „za działalność na szkodę stronnictwa”, Bitoński zreczenie weksluje całą sprawę na płaszczyznę „wewnętrznych sporów partyjnych w PSL”, dąży do stworzenia jeszcze jednego „grupowania ludowego” na emigracji, tym razem wyraźnie pro-reżimowego.

W swym przedsięwzięciu ma do dyspozycji swych agentów należących do sieci szpiegowskiej M.S.W.5. Dalej, ma kilkunastu autentycznych ludowców, z tych czy innych względów skłonnych z Mikołajczykiem. Liczy także na paru ludzi ze Zjednoczenia Narodowego, którzy dość naiwnie cieszą się z „nowego rozłamu w grupie Mikołajczyka”.

Ale Bitoński chce za wszelką cenę wciągnąć do swej „politycznej” roboty przynajmniej paru naprawdę znanych działaczy ludowych. Przede wszystkim tych, którzy z tych czy innych powodów już przedtem z Mikołajczykiem zerwali lub też z jego PSL zostali wykluczeni. Nasuwają mu się same przez się takie nazwiska, jak Władysław Zaremba, Stanisław Wójcik i przede wszystkim Kazimierz Bagoński. Myśli także o wciągnięciu Je-

rze go Kuncewicza, b. prezesa ludowej „Wolności”.

Z dwoma pierwszymi Bitoński nie miał większych trudności, przekonał ich bardzo łatwo. Ale z Kazimierzem Bagońskim sprawa nie wyszła. Odbył on wprawdzie rozmowę z Kuncewiczem, jak o to go Bitoński prosił, ale stanowczo odrzucił wszelką ideę jakiegokolwiek kompromisu politycznego z Sowietami i reżimem.

Nieugięta postawa niepodległościowa Bagońskiego była dla Bitońskiego wielkim ciosem. Liczył on na niego i swych paryskich „przyjaciół” zapewniał, że „Bagoński idzie z nami”. Toteż teraz usiłuje robić dobrą minę do fałszywej gry i szeroko opowiada, że „Bagoński to stary ramol, który już nic nie rozumie”.

Tymczasem — wydaje mi się — właśnie Bagoński szybko przejrzał grę Bitońskiego, choć o jego robocie szpiegowskiej nie oczywiście nie wiedział. Powstałe bowiem w końcu 1961 r. nowe „zjednoczone” PSL stanowiło nieoficjalną przybudówkę krajowego „Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego”, które jest tylko „ludową filią” polskiej partii komunistycznej, czyli tak zw. PZPR. „Deklaracja zjednoczeniowa” tego „zjednoczonego” PSL nie pozostawia pod tym względem żadnej wątpliwości. Stwierdza ona kategorycznie, że „nowe PSL” — „zjednoczone” — w polityce zagranicznej stoi na stanowisku planu Rapackiego i że Polska musi pozostać członkiem bloku sowieckiego — „bo taka jest racja stanu”.

Gloryfikując uzależnienie Polski od Rosji sowieckiej, „Deklaracja” cynicznie dopuszcza się ordynarnego kłamstwa, powtarza slogany komunistycznej propagandy. Czytamy w niej:

„A zatem znalezienie się Polski w ścisłej współpracy z Związkiem Radzieckim nie jest tylko wynikiem siły sowieckiej, jak to zwykle głoszą różni czynniki na emigracji, ale przede wszystkim wyrazem polskiej racji stanu. To stanowisko wyznawali członkowie PSL w kraju, dając temu wyraz w uchwałach programowych Kongresu 1946 r., to stanowisko jest nadal reprezentowane i realizowane przez naród, dlatego i my, ludowcy na emigracji, nie potrzebujemy się go wyrzekać, chcąc dobrze służyć sprawie polskiej”.

Zdaniem autorów „Deklaracji”, istniał wprawdzie w Polsce terror i nie było w niej wolności osobistej. Ale to już należy do bezpamiętnej przeszłości. Obecnie wszystko rzekomo jest inaczej: „Ustał terror i bezprawy, przywrócona została wolność osobista człowieka... Dlatego też nasz stosunek do tych przemian i podejmowanych wysiłków nie może być inny, jak tylko pozytywny”.

W ten sposób, dzięki niezrozumiałej wprost poblazliwości Mikołajczyka, który ograniczył się do usunięcia Bitońskiego „za działalność na szkodę stronnictwa”, pod płaszczykiem „zjednoczenia PSL” powstaje na Zachodzie nowa organizacja politycznej dywersji. Na jej czele stoją zamieszkał w Stanach Zjednoczonych Władysław Zaremba i Stanisław Wójcik, a w Europie w jej imieniu — jako „przewodniczący Rady Europejskiej PSL” — przemawia arcyszpieg Józef-Adam Bitoński.

Nie wiem, czy W. Zaremba i S. Wójcik mieli dane na to, by uświadomić sobie, że stali się po prostu marionetkami politycznymi, którymi kierował reżim przy pomocy swej europejskiej sieci szpiegowskiej. Faktem jest jednak że przez osobę Bitońskiego podróży Wójcika po Europie odpowiadała potrzebom i nadziejom szpiegowskiej sieci M.S.W.5.

Tej podróży i rozmowom S. Wójcika z „demokratycznymi” politykami polskimi na emigracji postaramy się przyrzec w następnej korespondencji.

Helena Zurkowska

Stanisław Paczyński

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sh. 1/3 — we Francji NF. 0.75 — w Austrii 1.60 Sch — w Belgii 7 br. b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir. — w Australii A 1sh 9d. — w Argentynie \$0.20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 cent.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W. Brytanii: „Gryf” Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; miesięcznie 6/4 kwartalnie 16/6, rocznie £3.00. Zmiana adresu 1s — W BELGII: miesięcznie frb. 25; kwartalnie frb. 75; M. J. Korab-Brzozowska-Csaky 118, rue Joseph II, Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J. Korab-Brzozowska-Csaky nr 315.20, podając swój dokładny adres — FRANCJA: N.F.: kwart. 8.00, półr. 15.00, rocznie 28.00. Admin. „Syrena” 20, rue Legendre, Paris 17. Konto poczt.: Edit. E.I.K.A.-Paris 5507-30; „Libella” Librairie, 12 rue St. Louis-en-l'Île Paris IV; nr konta poczt. Paris cc. 565150. Francja Północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107 rue Royale Lille (Nord), tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski, Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLANDII: mies. fl. 2.00, kwart. 5.50 wpłacać przez poczt.: Fr. Małeckie, Tulpenlaan 17, Lindenheuvel, Geleen (L.) — W NIEMCZACH: St. Mikicik (13b) München, 45, Gablonzerstrasse 7/1 — W NORWEGII: koron. mies. 4, kwart. 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii Post

box 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart 35 esc., rocz. 120; A Zieliński Lisboa, Central Caixa, Post Nr 110 — W SZWAJCARII, fr. szw. mies. 2.00, kwart. 5.50; Maria Wasung, 6 rue des Lilas Genève i Janusz Rakowski, Mainaustr. 28 Zurich — W SZWECJI: koron. mies. 3.60, kwart. 10.00, rocz. 36.00, Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/11, Stockholm. — WE WŁOSZACH: lirów: kwart. 700; W Zahorski, Associazione Combatt Polacchi Via Licca 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem poczt. — W ARGENTynie: prenumerata rocznie \$8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Pulac” Serrano 2076 Buenos Aires — W BRAZYLII: półrocznie \$4.00, rocznie \$8.00 — W AUSTRALII: „Vistula” (Australia) Pty Ltd, Daking House Rawson Place Sydney; „Spolem” (Australia) Tapleys Hill Rd Royal Park Adelaide S.A.; R Gronowski 23, Clifton Str., Richmond E.1 Vic kwart. £1.0.0A rocznie £3.15.0A — W KANADZIE: rocznie \$8.00; „Gryf” London — W PŁD. AFRYCE: kwart. 16/6, rocznie 60/-; prenumerata przyjmuje bezpośrednio „Gryf” Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: prenumerata kwartalna: \$2.10 półroczna: \$4.00 Przedstawicielstwa: „Gryf Publications” W Bieńkow-

ski, 738 Hampton A. Schenectady, N.Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 41, Mich. USA; Polska Składnica Taniej Książki „Polinvalco” 2109 Robinwood Avenue, Toledo 2, Ohio

CENA OGŁOSZEN: za jeden cal przez jeden tm £1.5.00 wzgl. 1 cm. przez jeden cal NF. 7.50. Przyjmuje: GRYP PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; Adm. „Syrena”, 20 rue Legendre, Paris 17, tel. WAGRAM 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq., London W.C.2; lub Odra Press Ltd., 20 Queens Gate Ter. S.W.7, Tel. KNI 6855

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji i Administracji: „Gryf”, 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11, Tel. BATTERSEA 1445 We Francji: „Syrena”, 20 rue Legendre, Paris 17, Tel. WAGRAM 0045 Konic pocztowe: E.I.K.A. cc. Paris 5507-30